SENSACJA!

W maju, w Środzie Śląskiej, niewielkim 8-tysięcznym miasteczku 30 km od Wrocławia znaleziono SKARB TYSIĄCLECIA: tysiące średniowiecznych srebrnych i złotych monet oraz fragmenty przepięknej biżuterii. Nasza specjalna wysłanniczka odwiedziła miejsce tego archeologicznego wydarzenia...

Jej relację zamieścimy w najbliższym — sobotnim — numerze „Świata Młodych".

CZWARTEK Nr 107 88-09-08 Cena 25 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Niech każdy w sobie pokój obudzi...

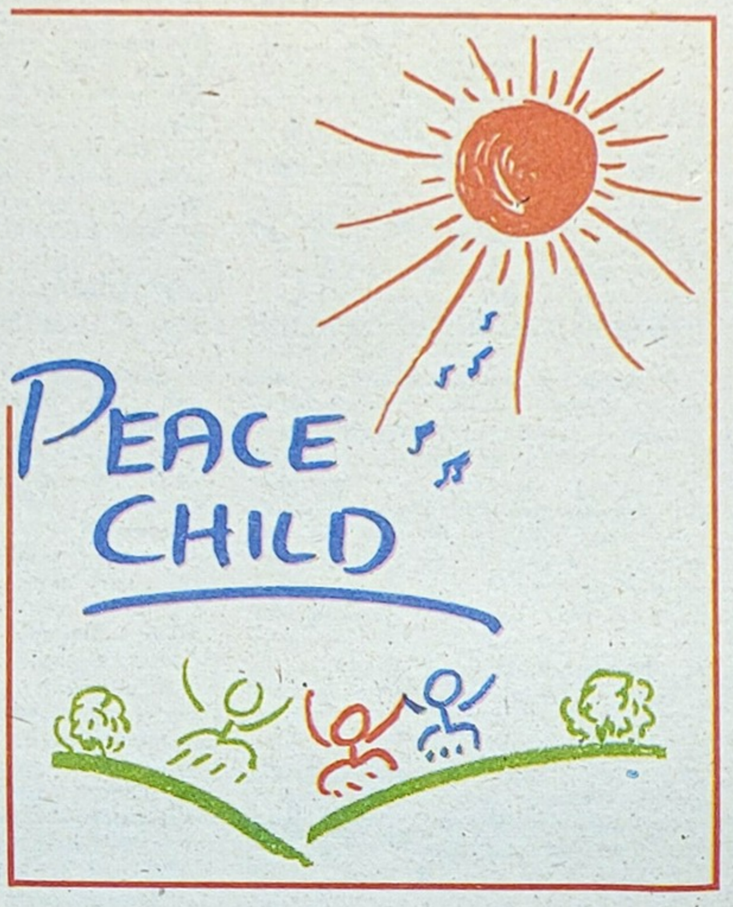

Próba generalna przed premierowym koncertem musicalu Peace Child w amfiteatrze na przedmieściach Chełma była pełna nieprzewidzianych „wpadek". Najpierw nieznośnie wyła aparatura nagłaśniająca, potem trzeba było przestawić reflektory, które „wchodziły w paradę" tańczącym. Rosjanka Ksenia nie mogła zapamiętać, do którego z mikrofonów powinna mówić. Gdzieś zapodziały się okulary — niezbędne rekwizyty grupy amerykańskiej. Nie świeciły się jarzeniówki w ogromnym komputerze Kuby. Efekt specjalny — petarda — wybuchła nie w tym momencie co potrzeba, powodując małe zamieszanie wśród grających. Na dobitkę rozsypało się w drobny maczek jedno z luster, którymi wyłożona była przednia część sceny...

Reżyser przedstawienia — Mariusz Malinowski, nerwowo spoglądając na zegarek (koncert tuż tuż...), starał się panować nad całością. Ustawiał, przestawiał i błagał, by pamiętać o jego wskazówkach. Kierownik muzyczny i jednocześnie dyrygent big-bandu — Wiesław Pieregorólka ostrzegał, że choćby widzowie stali już u wrót, to on i tak jeszcze przeprowadzi tę dwudziestominutową próbę muzyczną... Zimną krew zachowywał siedzący w środkowym sektorze Steve Riffkin. Bo, jak twierdzą nie tylko aktorzy — im więcej wpadek na generalnej, tym lepsza premiera!

Z pewnymi obawami

W grubym zeszycie Monika Mielka zapisuje skrupulatnie, dzień po dniu, swoje wrażenia. Notatki zaczęła prowadzić w chwili, gdy dowiedziała się o eliminacjach mających wyłonić polską grupę Peace Child. Prawdę mówiąc, nie spodziewała się, że jej kronika będzie miała ciąg dalszy. Przecież na wstępne przesłuchania przeprowadzane przez Mariusza Malinowskiego i Wiesława Pieregorólkę zgłosiło się wiele, wiele setek dzieci — mieszkańców Zamojszczyzny. A jednak... Na jednej z pierwszych stron swego „dziennika pokładowego" Monika wkleiła list od organizatorów, zawiadamiający, że właśnie ona została wybrana i że już od maja cała polska grupa będzie się spotykać na warsztatach.

CIĄG DALSZY NA STR. 4

SEOUL 1988

Za 9 dni igrzyska...

„DIABELSKI DYSTANS"

Tak kiedyś mówiło się o maratonie, dystansie strasznie długim 42,195 km, a więc i wyczerpującym. Początkowo startowali na nim tylko mężczyźni, ale od kilku lat swoich sił w maratonie próbują także panie. Jakże muszą one być silne, wytrwałe, wytrzymałe. Pozornym zaprzeczeniem tych cech jest Portugalska Rosa Mota. Ta maleńka (157 cm wzrostu) i szczupła (45 kg wagi) zawodniczka zdobyła już sporo maratońskich laurów. Dwukrotnie zwyciężyła w ME i jest mistrzynią świata. Najlepszy wynik — 2:23,29 godz. Na ostatnich igrzyskach olimpijskich była trzecia. Na swoje trzydzieste urodziny chce stanąć w Seulu na najwyższym podium.

A oto treningowy tydzień Portugalki. Każdego dnia (oprócz piątku) pokonuje ona dystans około 25 km, w różnym tempie, ze znacznym przyśpieszeniem na ostatnich kilometrach. Piątek traktowany jest bardzo ulgowo — obowiązuje odcinek „tylko" 10 km. Mota uwielbia biegi przełajowe i właściwie nie stroni od startów w najprzeróżniejszych warunkach terenowych i pogodowych. Częste występy i niesłychanie mocny organizm powodują, że Portugalka jest właściwie zawsze przygotowana do występów. Jej głównymi konkurentkami w Seulu będą Norweżki Kristiansen i Waitz, Włoszka Fogli i Holenderka Benrskens.

Na koreańskiej trasie liczyć się będą również reprezentantki ZSRR, a zwłaszcza doskonała Smiechnowa. Rosa Mota uważa jednak, że złoty medal zostanie zawieszony na jej szyi.

(zp)
Fot. archiwum

PSY PRZEPOWIADAJĄ TRZĘSIENIE ZIEMI

(PAP). Chińscy sejsmolodzy z 10 ośrodków badawczych z ChRL przebadali kilkanaście gatunków zwierząt, a dokładniej ich zachowanie poprzedzające tektoniczne ruchy skorupy ziemskiej. Okazuje się, że najbardziej wyczulone na mające nastąpić trzęsienie ziemi są psy, kurczęta i bydło. Zauważalny niepokój domowych zwierząt być może wynika z dźwięków, które powstają na skutek zmian naprężeń wewnątrz ziemi. Druga hipoteza mówi, że wstrząsy poprzedzone są wydobywającymi się z ziemi gazami. Oczywiście na oba domniemane sygnały człowiek nie jest wyczulony, tak jak nie rejestruje ich wykonana przez uczonych aparatura kontrolna.

Jak dotychczas najskuteczniejszym ostrzeżeniem przed mającym nastąpić trzęsieniem ziemi są zatem domowe zwierzęta.

Wagony – bawialnie

SZWAJCARIA (PAP). Koleje szwajcarskie po przeprowadzonych próbach na trasie Genewa — St. Gallen postanowiły wprowadzić w 10 pociągach dalekobieżnych i międzynarodowych jeden lub dwa wagony ze specjalnymi przedziałami do zabaw dla dzieci. Okazało się, po intensywnej reklamie, że rodzice chętnie korzystają z tych pociągów.

Dzieci przez cały czas podróży są pod specjalną opieką wykwalifikowanego personelu.

AUTOMATYCZNY BILET LOTNICZY

(PAP). Towarzystwa lotnicze, należące do Międzynarodowego Zrzeszenia Transportu Lotniczego (IATA), którego członkiem jest również LOT, zdecydowały się wprowadzić do użytku nowy rodzaj biletu lotniczego nazywanego w skrócie ATB. Jest to rodzaj karty informatycznej zastępującej bilet i kartę pokładową. Bilet ten jest drukowany przez komputer. Pozwala on na wprowadzenie zapisu magnetycznego z tyłu biletu zawierającego dane dotyczące podróży pasażera. Ten nowy bilet, będący owocem 10 lat badań, ułatwi pracę personelu, zwłaszcza dokonywanie obliczeń i skutecznie zapobiegnie ewentualnym oszustwom. Nowy bilet ma być stopniowo wprowadzany na poszczególnych liniach. Trudno powiedzieć, kiedy trafi on do PLL LOT.

ŚWIAT MŁODYCH LATO'88
WYDANIE SPECJALNE
cena 100 zł

Tylko o nas... Tylko z nami!
To co mamy — przedstawiamy...

Gdzie? W najnowszym wydaniu „Bazaru" „Świata Młodych". Spieszcie się, może jeszcze zdołacie kupić go w kioskach Ruchu. Przygotowaliśmy w nim dla Was dziesiątki zadań, rozrywek oraz konkursów z nagrodami. „Bazar" zaprasza!

Casablanca, Sans Souci, Aeureatum Othello...

Jej miłośnicy twierdzą, że jest najpiękniej kwitnącą rośliną i natychmiast podają argumenty, które mogą przekonać prawie każdego: ogromna różnorodność barw, kształtów, niezwykła trwałość. Lilia — to symbol czystości. O tym, że jest naprawdę urodziwa, można było się przekonać na wystawie zorganizowanej przez Hodowców i Producentów Lilii Warszawskiego Związku Ogrodniczego w Starej Pomarańczarni — w Łazienkach Królewskich, bo tu właśnie miała miejsce ta kolorowa i pachnąca ekspozycja. Swoje kwiaty prezentowali także Holendrzy oraz hodowcy z Instytutu Sadownictwa i Kwiaciarstwa w Skierniewicach. Było na co popatrzeć! Kilkaset odmian: czystobiała Casablanca, różowa Sans Souci, Aeureatum Othello — biała z żółtym paskiem, różowa nakrapiana — Journey's End, czyli koniec podróży. Skąd taka zabawna nazwa? Nie wiadomo.

Kiedy 40 lat temu Jan de Graff wyhodował nową bardzo popularną obecnie lilię — nazwał ją oczarowaniem (Enchantment). Nie sama lilia jest najważniejsza, a oczarowanie nią właśnie. Ale najpiękniejsze kwiaty można zobaczyć nie na wystawie, a w ogrodzie, „na wolności".

Fot. CAF

ŚWIAT MŁODYCH
HSI

NA BIESZCZADY NIE MA RADY

„Bo kto w Bieszczadach raz spróbował, ten w Bieszczady wraca" — mówią słowa popularnych harcerskich piosenek. I rzeczywiście, „jak co roku przed lata końcem" już po raz 15. ponad 3 tys. harcerzy zaludniło 22 stanice (w II turnusie — 18) u stóp Tarnicy, Chryszczatej, Połoniny Wetlińskiej.

Śpiewamy o nich piosenki, układamy wiersze, mówimy:

NASZE HARCERSKIE GÓRY

I chociaż to stwierdzenie ma wielu oponentów, to nie sposób harcerskiego dorobku wymazać z bieszczadzkich kronik. Przez dwa letnie miesiące, i w przenośni, i realnie, stanowimy cząstkę tego regionu.

Prawie każda stanica prowadzi w okolicznych wioskach „zielone przedszkola", pracujemy jako listonosze i malarze, w szkółkach leśnych przy wycince olchy, kopaniu rowów melioracyjnych, zbiórce jagód i siana, w okolicznych zakładach pracy i u potrzebujących pomocy rolników. Tylko w lipcu zaliczono nam ok. 18 tys. roboczogodzin, co daje niebagatelną sumę 18 mln złotych, które zasilą tradycyjnie

Fundusz Bieszczadzki. Sfinansowano już z niego kilka niezbędnych na tym terenie inwestycji (np. przedszkole w Baligrodzie).

Ale pieniądze to jeszcze nie wszystko. Od kilku lat harcerska brać nie chce swego trudu liczyć jedynie w zarobionych złotówkach. Dyskutuje się nad nowymi możliwościami zaistnienia w tym regionie pełnej służby Bieszczadom. Pomysłów jest kilka. Jeden z nich stawia na **turystykę**, na rozwój tak potrzebnej tu bazy noclegowej. Już od kilku lat stanice udzielają gościny zastępom wędrującym i turystom indywidualnym. Warunki i sposób prowadzenia hotelików pozostawiają jednak jeszcze sporo do życzenia, ale wiele stanic ma ambitne plany rozwinięcia swej działalności: zwiększą liczbę miejsc, zapewnią większy komfort, a przede wszystkim rozreklamują swoje bazy.

Za bodaj czy nie najważniejszy cel swej bieszczadzkiej przygody obraliśmy **ekologię.** Niektórych błędów nie da się już, niestety, naprawić, ale ciągle jeszcze można zapobiec katastroficznemu skażeniu tego, czy nie ostatniego już, dość czystego zakątka w Polsce.

Zaczynamy od siebie. Obozy zostały wyposażone w odstojniki (takie filtry naturalne), pojemniki na śmieci i filtry do wody. W tym roku z wielu stanic wyruszały codziennie „zielone patrole". Wyszukiwano dzikie śmietniska i miejsca emisji ścieków. Porządkowano parkingi, leśne pola biwakowe i sprzątano szlaki. Młodzieżowi Strażnicy Ochrony Przyrody (specjalność Stanicy Kieleckiej) krążąc po szlakach Bieszczadzkiego Parku Narodowego udzielili tysiącom niepoprawnych turystów i zbieraczy dobrych rad i upomnień.

W tym roku mamy

MAŁY JUBILEUSZ

Podsumowując swą kilkunastoletnią działalność stanice sporządziły tzw. raporty 15-lecia. Okazało się, że niewiele przedsięwzięć odbywa się tu bez pomocy harcerzy, którzy mają swój udział w budowie sklepów, pól biwakowych, szkół.

Harcerze ze Stanicy Ministerstwa Komunikacji pomagali przy renowacji słynnej kolejki wąskotorowej. Wrocławianie i szczecinianie prowadzili naprawcze warsztaty usługowe: samochodowy, radiowo-telewizyjny, naprawy sprzętu rolniczego i domowego; zaś dziewczęta organizowały kursy kroju i szycia. Ogromną popularnością wśród mieszkańców cieszyły się tzw. białe soboty, podczas których druhowie-lekarze udzielali porad okulistycznych, internistycznych i innych.

Tyle o służbie i pracy, a żebyście nie myśleli, że tylko do i dla pracy przyjeżdżają w Bieszczady harcerze, trzeba powiedzieć o malowniczo położonych obozach ze wspaniałą kadrą, pionierką i zdobnictwem, o czystym powietrzu, ogromnych słodkich jagodach i malinach.

Bieszczadnicy to taki klan ludzi, którzy przyjechali tu raz, „zakochać się" w tych górach, potokach, w tym strasznym tylko z daleka bieszczadzkim błotku i... zostali, a raczej wracają uparcie co roku, ciągnąc jeszcze za sobą coraz to nowych pasjonatów.

Bieszczadzkie wygi spotykają się najchętniej na

CENTRALNYM RAJDZIE OPERACJI

legendarnie trudnej (bajkil) i niemniej słynnej imprezie turystycznej. Wspólna wędrówka, przygody i wieczorne ogniska sprawiają, że właśnie na rajdzie zawiązuje się najwięcej przyjaźni, że po latach najmilej wspomina się chwile spędzone na bieszczadzkich trasach. W tym roku mimo niezbyt sprzyjającej pogody (w lipcu — mgły, deszcze) wędrówka, pewnie dzięki niebanalnym trasom, była zdaniem rajdowców bardzo ciekawa i udana.

Wypalił także Harcerski Festiwal Twórczości Artystycznej Lesko '88, na którym Stanica Kielecka wylansowała przeboje: „Przeżyć" i „Lato, śpiwór, wałówka i ja", opolska „Opowieść o burzy", a każdy miłośnik sztuki, niekoniecznie profesjonalnej, i niezależnie od wieku mógł się napatrzeć, nasłuchać, nabawić, a do tego... najeść po uszy.

Było wspaniale i kiedy tylko wspominam rozśpiewany, kolorowy leski amfiteatr, gdy pojawia się przed oczami szczyt Tarnicy oglądany o świcie, czy spowita mgłami Wetlińska, a w uszach ciągle gra „Piosenka weterana" i tyle ścieżek na pamięć wydeptywanych, to żałuję, że taki czas nie trwa wiecznie.

Hop, Hop!!! Wróćmy do rzeczywistości. Operacja „Bieszczady" to nie bajka i zaręczam wam, że sporo podczas jej trwania nazbierało się błędów, fatalnych posunięć i złych działań metodycznych. Były małe konflikty i wcale nieszlachetna rywalizacja. Ktoś czegoś nie wykonał, inny zapomniał o danym słowie. A prezentacje niektórych zespołów na leskim festiwalu doprawdy nie przypominały anielskiego pienia. Ale dobrych stron musiało być więcej, bo ja tych cieni po prostu już nie pamiętam. A to przecież najważniejsze, co we wspomnieniach pozostaje —

WSPANIAŁA, CZARODZIEJSKA ATMOSFERA

Sprawia ona, że kiedy czas już wracać, kiedy dogasa ostatnie obozowe ognisko, nie mówimy sobie „żegnaj" tylko „do widzenia!" Do zobaczenia za rok, w tym samym miejscu, w tej samej stanicy. I coś w tym musi być, skoro na wszystkich PZHS-ach i złazach bieszczadnicy odnajdują się błyskawicznie. Skoro mówi się, że na OB — 40 w najtrudniejszych warunkach terenowych, klimatycznych i technicznych kształci się najlepsza kadra Związku.

Jeżeli niektórzy przyjeżdżają tu dziesięć i więcej razy tak jak na przykład Tadeusz Berus, komendant Stanicy Min. Komunikacji, wrocławska kucharka „Ciocia", obaj komendanci Stanicy Kieleckiej — Staszek Adamczak i Stefan Kalinowski, jak Danuta Rosner, która wróciła po kilkuletniej przerwie, bo bez Bieszczadów wytrzymać nie mogła.

„Bo my jesteśmy jak te ptaki
które wracają do swych gniazd.
...
Wracamy na bieszczadzkie szlaki,
do naszych stanic, naszych gniazd".

Wioletta Bąk
korespondentka HSI „ŚM"

WALCZYĆ

Czy ekologia może być specjalnością harcerską?

Pytanie wydaje się być bezzasadne. Oczywiście, że może, krzykną wszyscy. Zupełnie nieoczekiwanie, a może oczekiwanie, a niepostrzeżenie w kręgu naszych zainteresowań pojawiła się dziedzina, która zdaje się wypierać tradycyjnie pojmowaną ochronę przyrody. Na tyle już tradycyjnie, że bardzo rzadko zastanawiamy się w drużynach i szczepach, co kryje się pod hasłem: „Harcerz kocha przyrodę..." Rzadziej jeszcze podejmujemy sensowne, wypływające z tej idei działania, jakby w obawie przed kpiną, która musi towarzyszyć tej donkiszoterii naszych czasów

Czarę goryczy dopełnił ubiegłoroczny Alert Naczelnika, kiedy to większość władz administracyjnych potraktowała alarmujące harcerskie raporty, delikatnie rzecz ujmując, niepoważnie.

Zagrożenie przyrody, a więc ziemi, wody, powietrza, roślin, zwierząt, człowieka, postępuje niedostrzegalnie. Tego nie widać, a jednak skutki są coraz straszniejsze.

Wiele środowisk harcerskich z pobudek najczęściej bardzo szlachetnych, wpisuje w swoje programy i podejmuje działalność ekologiczną. W tym miejscu muszę postawić tezę, z którą, być może, większość z Was się nie zgodzi, niemniej formułuję ją tak: w ogromnej części działalność ekologiczna podejmowana przez nas jest nieskuteczna. Aby było inaczej **trzeba wskazywać zagrożenia i ludzi je czyniących.** Musi się więc rozpocząć walka. Walka z innymi ludźmi. Czy jesteśmy do tego przygotowani? Czy możemy w ogóle tak postępować?

Jeśli mamy zajmować się ekologią w całości, to musimy postawić takie pytania. Może jednak, na razie, wystarczy wskazywać przyczyny zagrożeń ekologicznych kompetentnym władzom, choć znając naszą rzeczywistość sceptycznie oceniam powodzenie takich działań. A więc działać samemu, szukać sojuszników i sposobów?

Spróbujmy wspólnie rozstrzygnąć te dylematy.

hm PL Kazimierz B. Shutterly HR
(przedrukowane ze „Stanicy")

KRÓTKA HISTORIA O NUTACH I NUTKACH

Nie byłem jurorem, więc mogę sobie pozwolić na kilka refleksji o II Harcerskim Festiwalu Twórczości Artystycznej w Lesku. Jest południe, piątek, moczę nogi w Sanie i popijając ciepłego „ptysia" made in Igloopol, zastanawiam się czemu każde śpiewanie musi być okrzyknięte festiwalem. Wszak wiele z nich zbyt wiele z festiwalami — poza nazwą — nie ma. Bo festiwal to przecież eliminacje wstępne, przesłuchania wykonawców, zatwierdzanie tekstów pod względem artystycznym, to wiele imprez towarzyszących, których ranga również jest wysoka itp., itd. Takie postępowanie zapewnia określony poziom artystyczny, a o to chyba każdemu organizatorowi chodzi. Myślę, że w przypadku Leska bardziej adekwatna byłaby nazwa: przegląd harcerskiej twórczości artystycznej, bo wtedy do tego pojemnego „worka" zmieszczą się wszystkie rodzaje twórczości — w tym grafomaństwo i czasami brak dobrego smaku.

Warto się zastanowić, jaki kształt organizacyjny nadać przyszłorocznemu spotkaniu w Lesku — by było wydarzeniem artystycznym, a nie tylko zdarzeniem, które się szybko zapomina.

Wasz Konferansjer
(przedruk ze „Stanicy")

REDAKCYJNA POCZTA

Liczy się tylko Pewex

Jestem uczennicą VI klasy, mam 13 lat. Mój kłopot polega na tym, że w tym roku doszła do naszej klasy dziewczyna, przez którą klasa stała się piekłem. Liczą się tylko osoby posiadające ciuchy z Pewexu itp. Co zrobić, by nasza klasa była zgrana jak dawniej? Poradźcie, napiszcie!

Pchełka

Jak pomóc Marcie?

Mam koleżankę, która chodzi ze mną do jednej klasy (IV). Jest bardzo dobrą uczennicą i kolegujemy się od pierwszej klasy. Inni jednak już od zerówki nie akceptują Marty; wyśmiewają się z niej i przezywają „gruba". Naprawdę jest trochę otyła, ale to nie powód do dokuczania.

Kiedy ja przyszłam do tej szkoły (w zerówce byłam w innej), potrafiłam sobie wyjednać szacunek, nikogo nie zaczepiałam, ale nie dałam też „dmuchać sobie w kaszę". Marcie jakoś to nie idzie. Może dlatego, że jest trochę przemądrzała i chce rządzić? Ja żyję z nią w zgodzie. I jeszcze tylko Kazik przyjaźni się z nią tak jak ja. Ale przecież trzy osoby to nie cała klasa. Na stosunku klasy do Marty zaważyć mógł też wiek jej rodziców. Kiedyś dziewczynka z młodszej klasy spytała, czy ten pan co przychodzi po Martę, to jej dziadek? To był jej tata. Teraz te stosunki trochę się poprawiły, ale jeszcze wiele osób dokucza jej!

Nasza klasa nie jest zgrana. Może bierze się to stąd, że jedni są za Martą, inni przeciw. Teraz Marta będzie miała dodatkowy kłopot, bo przeprowadziła się bliżej Kazika, do większego mieszkania i nikogo prócz niego, tam nie zna. Wprawdzie będzie chodziła do tej samej szkoły, ale na podwórku też trzeba mieć kogoś, z kim można się bawić. Jak pomóc Marcie? Co zrobić, żeby nasza klasa była zgrana?

„Opiekunka" z Łodzi

Wstydźcie się!

I ja postanowiłam dołączyć się do listu Kingi z nr. 28 „ŚM". Dlaczego tak poniża się woźne, sprzątaczki? Praca sprzątaczki to normalna i ważna praca. Czyż nie wstyd Wam robić na złość osobie, która np. myje podłogi w szkole, zabrudzone przez Was? Choćby i za to powinno się je szanować! Proszę sobie wyobrazić szkołę, w której nie miałby kto szorować podłóg, myć okien itp. I jeżeli by to wykonywali uczniowie, to czy również pluliby na siebie, przeklinali, przezywali itd.? A za cóż poniżają panie woźne? Za to, że robią porządek w szkole? Czyżby szokował ich ład? Czyżby kochali bałagan, nieporządek, nieład? I jeszcze jedno: co byście zrobili, gdyby przyszło Wam w przyszłości być woźną czy woźnym?

„Madame Bollin" (12 lat)

Może nareszcie klasa mnie zaakceptuje?

Lubię czytać Waszą „niebieską tasiemkę". Kiedyś uważałem, że do Was nie napiszę, lecz się myliłem.

Od ponad dwu lat przerwy spędzam samotnie. Dziewczęta i chłopcy z mojej i starszych klas zachowują się tak, jakby mnie nie było. Podczas lekcji, np. na plastyce czy pracach technicznych, gdy chcę coś próbować robić, czy im pomóc, odpychają mnie. Jedynie gdy nadchodzi klasówka, każdy prosi, żebym mu podpowiedział. Później — wraca obojętność...

Mam już 12 lat i chodzę do klasy piątej. Poradźcie, co mam robić? Proszę o wydrukowanie mojego listu, może go ktoś z naszej klasy przeczyta i zaakceptuje mnie.

Grzegorz

Tematy z Polski

Cudu na pewno nie będzie

Minął beztroski, wakacyjny czas i znowu trzeba przyjrzeć się biegowi spraw w naszym kraju. A dzieje się w nim, niestety, niedobrze. Większość Polaków z niepokojem patrzy na stan rodzimej gospodarki. I to zarówno tej wielkiej, narodowej, jak i tej najmniejszej, mierzonej wielkością domowego budżetu.

Szumnie zapowiadany II etap reformy jakoś nie przynosi wyraźnych sygnałów poprawy. Przeciwnie. Do starych kłopotów dochodzą nowe. Brakuje mięsa, cukru, serów, a gdzieniegdzie nawet chleba i makaronów.

Kiedy na początku tego roku rozważano szanse reformy, często można się było spotkać ze stwierdzeniem, że szybka i radykalna gospodarcza kuracja jest naszą ostatnią szansą. Jeżeli jej nie wykorzystamy — pisano i mówiono — grozi nam stoczenie się do poziomu najbardziej zaniedbanych krajów. Staniemy się wówczas skansenem zacofania i nieudolności w środku Europy.

Dziś trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, że zbliżamy się do stanu, którego tak bardzo się obawialiśmy. Wypadamy z grona krajów aspirujących do rozwoju. Teraz główne zmartwienie polega na tym, aby nie następował dalszy spadek poziomu życia. A oto kilka przykładów potwierdzających taką ocenę sytuacji.

W maju tego roku Sejm uchwalił ustawę, która dała Radzie Ministrów szerokie uprawnienia umożliwiające między innymi rozwiązywanie organizacji o charakterze monopolistycznym oraz zamykanie przedsiębiorstw deficytowych lub uznanych za zbędne. Wielu witało tę ustawę z radością („teraz zrobią wreszcie porządek"), ale tak naprawdę jest to przecież przyznanie się do tego, że mechanizmy reformy w ogóle nie działają. Zakłady, do których dopłacić trzeba grube miliony, jeżeli nie miliardy złotych, w dalszym ciągu prosperują w najlepsze i wcale nie mają zamiaru plajtować. Nikomu niepotrzebni pośrednicy zgarniają sowite marże i również nie ma takiego odważnego, który by zrezygnował z ich usług. A przecież przy prawidłowych zasadach gospodarowania wszystkie te firmy powinny same — i to już dawno — zbankrutować, upaść, i to z jednego, podstawowego powodu. Braku pieniędzy na dalszą działalność.

Innym objawem ekonomicznego chaosu, w jakim znajduje się nasz kraj, jest coraz potężniejsza fala żądań płacowych. Strajki w maju i kwietniu, a także ostatnie niepokoje w Szczecinie i w śląskich kopalniach; podwyżka płac nauczycieli; przywracanie przywilejów wynikających z Karty Górnika — wszystko są to symptomy „rozsypywania się" powiązań pomiędzy pracą a wynagrodzeniem, między pieniądzem a towarem. Nie chodzi mi przy tym o to, czy postulaty podwyżek płac są słuszne czy nie. Obecna sytuacja dowodzi po prostu, iż wielu ludzi nie widzi możliwości poprawy własnego losu poprzez pracę. Stąd strajki i inne sposoby wymuszania dodatkowych pieniędzy.

Wysocy przedstawiciele administracji gospodarczej często mają za złe swym krytykom (m.in. dziennikarzom), że nie wykazują dostatecznej cierpliwości w oczekiwaniu na wyniki reformy. Wskazują, że dopiero powstają nowe akty prawne, które regulować będą rytm zreformowanej gospodarki. Potem trzeba to będzie przełożyć na język praktyki, poczekać przynajmniej rok, aż system okrzepnie i dopiero wtedy przyjdzie czas na zbieranie owoców.

Trwają więc dyskusje uczonych mężów, a ludzka cierpliwość wyczerpuje się. Ostatnie wydarzenia wykazują, że nadszedł już jej kres. W dodatku projektowane z takim mozołem ustawy, zamiast rewolucyjnych przeobrażeń przewidują jedynie kosmetyczne poprawki. Nad całym życiem gospodarczym ma więc nadal unosić się duch wszechmocnego Urzędnika, który najlepiej wie ile np. kwiaciarni może funkcjonować w jednym mieście. Zostawić taką sprawę działaniu praw rynkowych, które samoistnie uregulują ten problem? To ciągle jeszcze nie może się pomieścić w głowie wielu, zbyt wielu przedstawicielom władzy.

Sposób myślenia biurokratów od gospodarki dobitnie ilustrują projekty dwóch ustaw; o podejmowaniu działalności gospodarczej, oraz o zasadach działania przedsiębiorstw z udziałem kapitału zagranicznego. W obu tych dokumentach myślą przewodnią jest ustawienie człowieka interesu w pozycji petenta pokornie proszącego o prawo do działania. A przecież w dzisiejszej Polsce ludzi, którzy mają inicjatywę, pomysły a do tego pieniądze i chcą to wszystko zaangażować na naszym rynku trzeba wręcz rozpieszczać, nie szczędzić im zachęt do działania. Ale nie, biurokracja nawet przez moment nie dopuszcza do siebie myśli, aby możliwa była sytuacja, w której można coś robić nie pytając o zgodę. A jeszcze całkiem niedawno zapewniano: wszystko co nie jest zabronione, jest dozwolone.

Inny kwiatek z urzędniczo-rozporządzeniowej łączki to całkiem świeży przepis, zgodnie z którym państwowe przedsiębiorstwa, jeżeli zlecą wykonanie części robót firmie prywatnej, muszą zapłacić za to karę w formie dwudziestoprocentowego podatku. I znowu kłóci się to z zapewnieniami o równości wszystkich sektorów gospodarki. Zapewnienia takie składali najwyżsi przedstawiciele rządu.

Upadkowi polskiej gospodarki jak na razie nie daje się zaradzić. Na szczęście w ekonomii nigdy nie jest tak, żeby nie można było „wyrwać się" do przodu. Szukając recept na przełamanie kryzysu nie należy jednak liczyć na pomoc, która miałaby pojawić się ze Wschodu, z Zachodu czy wręcz z nieba, jak wierzą niektórzy. Takich cudów na pewno nie będzie. Liczyć możemy jedynie na mądre, odważne i twarde decyzje.

MICHAŁ MALICKI

„Gdy się ktoś zaczyta, zawsze się czegoś nauczy, albo zapomni o tym, co mu dolega, albo zaśnie — w każdym razie wygra".

Henryk Sienkiewicz

Nie wiadomo jak potoczyłyby się losy świata, gdyby 3 września 1864 roku pewien właściciel laboratorium mieszczącego się na przedmieściach Sztokholmu skończył o kilka sekund wcześniej przypadkową rozmowę. Na szczęście stał w jej trakcie przy szeroko otwartym oknie i wybuch — który nastąpił w głębi pracowni — oszczędził go, uśmiercając pięciu jego pracowników. Człowiek ten nazywał się Alfred Nobel i jego nazwisko kojarzy się nam dziś raczej z nagrodami jego imienia, a nie najstraszliwszym materiałem wybuchowym owych czasów — nitrogliceryną. A to ona właśnie wybuchła w tym laboratorium.

Nobel był samoukiem, skończył tylko jedną klasę szkoły podstawowej, a potem już uczył się samodzielnie i pobierał nauki prywatnie. Mimo iż nigdy nie zdobył żadnego tytułu ściśle naukowego — choć otrzymał m.in. doktorat honoris causa z filozofii — był człowiekiem wszechstronnie wykształconym. Mówił i pisał w pięciu językach: angielskim, francuskim, niemieckim, rosyjskim i szwedzkim. Dokonywał odkryć w wielu dziedzinach, m.in. w produkcji lekarstw, udoskonalał systemy alarmowe, zajmował się nowoczesną organizacją pracy. Uzyskał 355 patentów, a wiele instytutów naukowych i uczelni wprowadziło go w skład swych członków.

Ale najbardziej ze wszystkiego pasjonowała go chemia, a szczególnie ten jej dział, który zajmował się materiałami wybuchowymi...

To on, jako pierwszy — po wielu latach eksperymentowania, w czasie których wielokrotnie dochodziło do niebezpiecznych, a nawet tragicznych w skutkach przypadkowych eksplozji — otrzymał dynamit. A potem jeszcze inne materiały wybuchowe, produkowane w wielu jego fabrykach. Efektem tej działalności była ogromna jak na owe czasy fortuna — blisko 10 milionów dolarów. Nobel postanowił przeznaczyć ją — a ściślej odsetki uzyskiwane od niej — na nagrody, rozdzielane corocznie *„między tych, którzy w poprzednim roku przynieśli największą korzyść ludzkości"* — jak sam napisał w testamencie.

Nagrody Nobla przyznawano początkowo — od 1901 r. — w pięciu dziedzinach: z fizyki, chemii, psychologii i medycyny, literatury i za działalność pokojową. Od roku 1969 doszła do tego nagroda z Ekonomii ku Pamięci Alfreda Nobla — fundowana przez Bank Szwecji.

Książka Zygmunta Broniarka* to pasjonujący zapis zarówno samej historii życia Nobla jak i losów nagrody jego imienia. Są one pełne nieoczekiwanych wydarzeń, gabinetowych przetargów, politycznych nacisków, a często i pospolitych skandali. Przyznawanie tych nagród — zawsze w grudniu — wzbudza ogromne emocje nie tylko pośród samych zainteresowanych, ale i wśród szerokiej publiczności. Czyta się więc tę książkę jak sensacyjną powieść, a przecież wszystko to co w niej napisano, wydarzyło się naprawdę...

(jd)

*** Zygmunt Broniarek — „Tajemnice Nagrody Nobla", KAW 1987, cena 250 zł.**

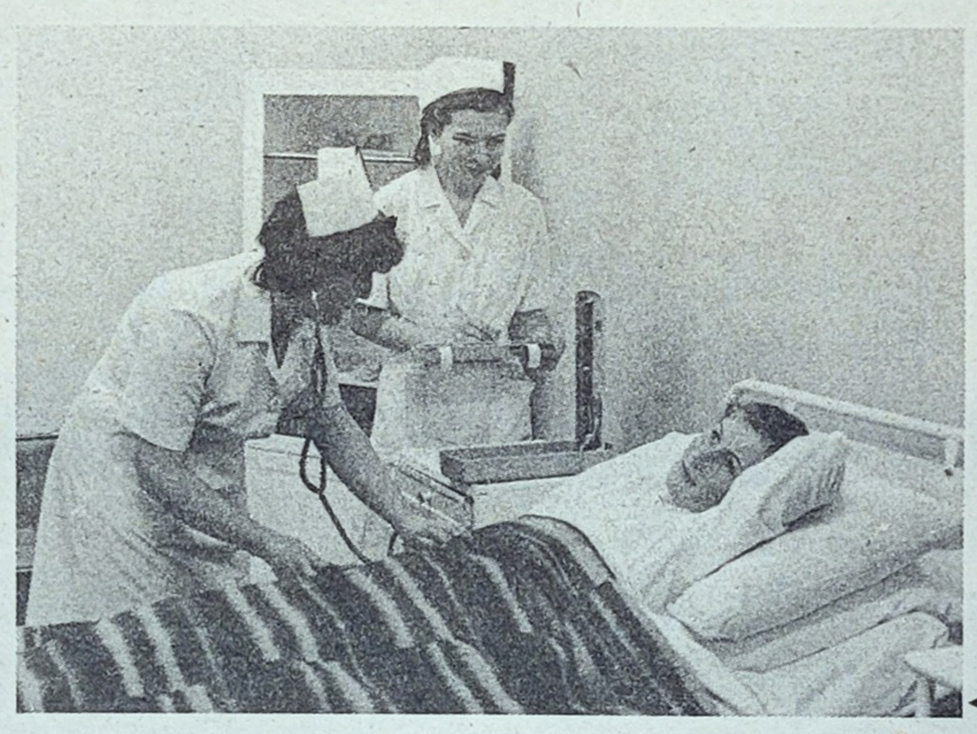

◄ *Skończyło się szczęśliwie*

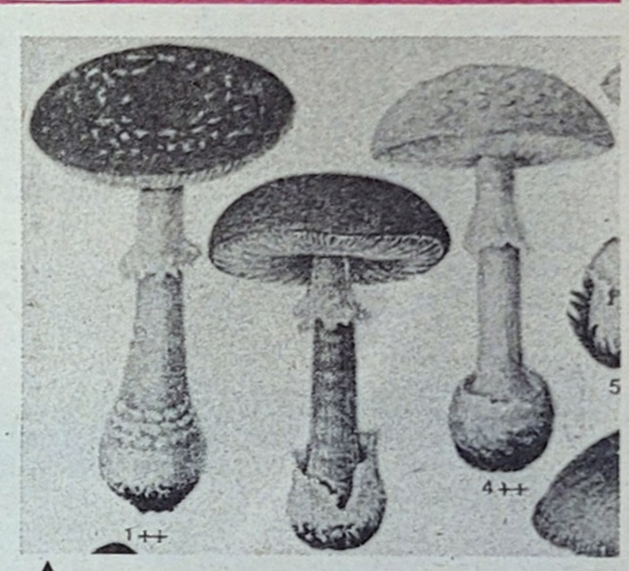

▲ *Muchomor sromotnikowy (w środku) to najbardziej niebezpieczny z grzybów trujących*

WYŚCIG PO ŻYCIE

Tomek i Mariusz ze Świecia nad Wisłą mogą mówić o wielkim szczęściu. Żyją. Już niedługo wyjdą ze szpitala. Kiedy przywieziono ich do Centrum Zdrowia Dziecka, lekarze stwierdzili krótko: stan beznadziejny. Wśród grzybów, które babcia przyrządziła im na kolację był muchomor sromotnikowy — prawdziwy grzybowy morderca.

Od lipca do października trwa sezon zbierania grzybów. Kto żyw rusza do lasu z koszykiem, aby potem suszyć, marynować, gotować no i ... jeść grzyby. W tym czasie we wszystkich oddziałach szpitalnych zajmujących się zatruciami trwa ostre pogotowie. Rokrocznie trafia tam kilkaset osób w bardzo ciężkim stanie. Nie wszystkich udaje się odratować. Szczególnie dramatyczne są przypadki zatruć u dzieci. Młode organizmy bardzo łatwo poddają się działaniu trucizny.

Historia czternastoletniego Roberta jest typowa. Był ze swoim ojcem na działce i podczas spaceru znalazł piękny grzyb, który uznał za kanię. Tata usmażył mu go na patelni i dopiero kiedy Robert następnego dnia w stanie ciężkim znalazł się w szpitalu, badania wykazały, że zjadł muchomora sromotnikowego. Często bywa on mylony także z pieczarką, a nawet z gąską. Przed takimi tragicznymi pomyłkami najlepiej ustrzec się nie zbierając w ogóle grzybów, które na odwrotnej, spodniej stronie kapelusza mają blaszki. Co prawda eliminuje się w ten sposób bardzo lubiane pieczarki, ale przecież nie trzeba ich zbierać. Lepiej kupić w sklepie, bo wtedy wiadomo, że są to grzyby hodowane w pieczarkarniach, a nie zbierane w lesie czy na polu.

Muchomor sromotnikowy zawiera niesłychanie silną truciznę — amanitynę. Jej ilość zawarta tylko w jednym grzybie wystarczy do zabicia dorosłego człowieka. Zabójcze działanie amanityny polega na niszczeniu komórek wątroby i nerek. Przez pierwsze 12 godzin, kiedy jad rozchodzi się po całym organizmie, nie ma żadnych objawów zatrucia. Dopiero potem zaczynają się wymioty, biegunka i bóle brzucha. W drugiej dobie dochodzi do śpiączki wątrobowej i krwawień, chory jest nieprzytomny. Wtedy jednak na ratunek jest już niekiedy za późno. Z trzydziestu dwóch zatrutych dzieci, które w tym roku trafiły do Centrum Zdrowia Dziecka, siedmioro umarło.

W leczeniu zatruć grzybami decydującą rolę odgrywa czas. Szpitalni lekarze prowadzą dramatyczny wyścig, w którym ich partnerem jest śmierć, a metą — życie chorego. Leczenie jest trudne, drogie (około 1 miliona zł na jednego pacjenta), a dla samego chorego — straszne. Tak określa je nawet człowiek, który miałby prawo na wiele rzeczy zobojętnieć: profesor Jerzy Socha, ordynator Oddziału Gastroenterologicznego Centrum Zdrowia Dziecka.

Pacjentów poddaje się więc tzw. forsownej diurezie. Podłączeni do kroplówek, otrzymują specyfiki wywołujące intensywne oddawanie moczu. Równolegle płucze się im żołądki oraz jelita. Przez kilka dni bez przerwy odsysana jest — za pomocą specjalnej pompy — treść pokarmowa z dwunastnicy. A wszystko to w celu usunięcia trucizny z wnętrza organizmu. Jednak amanityna ma tę groźną właściwość, że w sposób wręcz błyskawiczny przedostaje się do krwi. Wystarczy jej na to zaledwie kilkadziesiąt minut! Oddział kierowany przez prof. Sochę dysponuje na szczęście aparatem do tzw. plazmaferezy. Krew małych pacjentów przetaczana przez ten aparat, oczyszczana jest z trucizny. Jednocześnie podaje się mamucie wręcz dawki penicyliny oraz hormonów. Ich zadaniem jest zablokowanie możliwości łączenia się amanityny z komórkami wątroby.

W tym roku zatruć jest wyjątkowo dużo. Za wszelką cenę trzeba ograniczyć ich liczbę. Należy bowiem pamiętać, że „na leczenie w takich wypadkach jest zawsze za późno", jak mówi profesor Socha. Zawsze za późno w tym sensie, że farmakologicznymi metodami nie można zapobiec zatruciu, jeżeli już doszło do zjedzenia trujących grzybów. Cóż więc pozostaje? Przede wszystkim zapobieganie. A najlepszą metodą jest — zdaniem specjalistów — powstrzymanie się od zbierania grzybów blaszkowatych. Nie zbierajmy więc ich wcale! Wyrzućmy je z naszego koszyka! Pamiętajmy, że wystarczy jeden trujący, by nastąpiła tragedia.

MICHAŁ MALICKI

Fot. **Marek Szymański i CAF**

PEACE CHILD IN POLAND '88

Niech każdy w sobie pokój obudzi...

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

— *Co sobota i niedziela przyjeżdżaliśmy do Sitna i tu zaczynało się „walkowanie". Zanim jednak rozpoczęliśmy naukę piosenek i układów tanecznych, — trzeba było opanować coś istotniejszego: skrępowanie, wstyd przed publicznym występem — to była nasza pięta Achillesowa... Czegóż to reżyser nie wyprawiał, żeby nas odblokować! Jego starania dały w końcu rezultaty. Nasza 25-osobowa grupa zgrała się i teraz już można było pracować na całego. Warsztaty to była prawdziwa szkoła otwarcia się!*

W tym samym czasie, gdy na Zamojszczyźnie przygotowania szły pełną parą, amerykańscy rówieśnicy polskich wykonawców też nie próżnowali. Steve Riffkin przejechawszy przez wiele miast Stanów Zjednoczonych, wybrał dwudziestkę utalentowanych dziewcząt i chłopców. Teraz wspólnie starali się nauczyć piosenki „Apelujemy do wszystkich ludzi". Zadanie było dosyć trudne, bo jej słowa napisane były po polsku...

— *Choć trochę obawialiśmy się barier językowych, to jednak bardzo chcieliśmy wziąć udział w koncertach Peace Child. Nikt z nas jeszcze nie był w Polsce. No, nie...* Leslie poprawia się po chwili — *Monika Różyc — ona jedna z naszego grona mówi po polsku i bywała tu u swojej rodziny... Do tego wyjazdu przygotowywali nas nie tylko najbliżsi, ale także obcy ludzie. Na przykład podróż Tima sfinansowali mieszkańcy miasta, z którego on pochodzi. Zebrali potrzebne fundusze, gdy tylko dowiedzieli się, jaka jest idea tego międzynarodowego spotkania młodzieży...*

— *Dla nas udział w Peace Child był ogromną niespodzianką* — opowiadają najczystszą polszczyzną dziewczęta i chłopcy z grupy radzieckiej. — *Wszyscy mieszkamy w Wilnie, uczymy się w jednej klasie szkoły numer 19. Razem śpiewamy i tańczymy w polskim zespole ludowym „Wilenka". Wybierając się do Polski byliśmy przekonani, że jedziemy na międzynarodowy obóz wypoczynkowy. Dopiero przed wyjazdem, w Moskwie, gdzie dołączyła do nas Ksenia, uczennica jednej z tamtejszych szkół, dowiedzieliśmy się, że weźmiemy udział w koncertach Peace Child...*

— *Szczerze mówiąc, początkowo wcale nie byliśmy tym zachwyceni* — Ela uśmiecha się lekko. — *Obawialiśmy się spotkania, konfrontacji — szczególnie z młodzieżą amerykańską. Nie chodziło tu nawet o język — wszyscy bowiem — lepiej lub gorzej — mówimy po angielsku. Ale nie wiedzieliśmy, jak zostaniemy przyjęci, jak mamy się zachować w nowej sytuacji...*

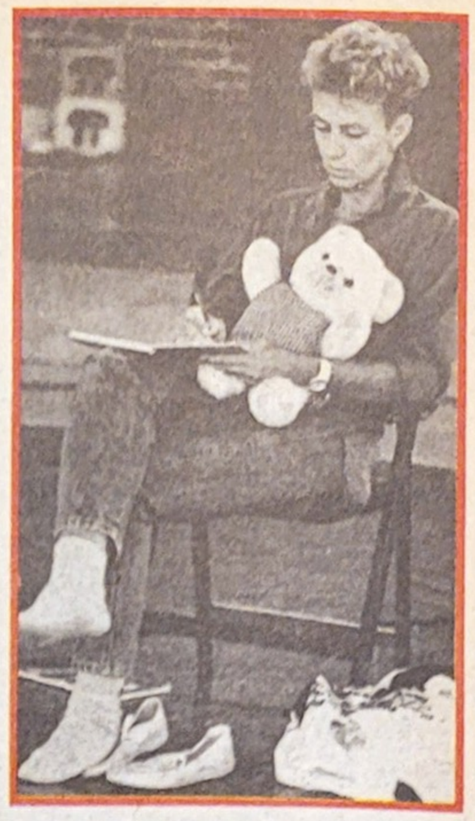

Nareszcie przyjechaliście!

Tymi słowami witali się wszyscy pierwszego dnia w Zamościu. Nigdy przedtem się nie widzieli, a jednak padli sobie w objęcia jak starzy znajomi. Na początek odśpiewali refren znanej już piosenki i od razu zrobiło się sympatycznie i swojsko.

Już pierwszego dnia wspólnego pobytu w zamojskim ośrodku okazało się, że jedni nie są wcale zarozumiali i zadufani w sobie jak to z potocznych opinii by wynikało, a drudzy — wcale nie tacy zahukani. I zobaczyli jeszcze, że wszyscy mają tak samo dużo poczucia humoru i mnóstwo sympatii dla innych...

Przez prawie dwa tygodnie młodzi wykonawcy pracowali pod fachowym kierownictwem reżysera, kierownika muzycznego i trzech choreografów: Elżbiety Brześcińskiej, Priscilli Bratton i Davida Audysza. Przygotowanie musicalu wymagało od wszystkich wiele wysiłku... Codziennie pobudka o 7.30 (wakacje wakacjami — a wstawać rano trzeba!). Potem rozgrzewka (uff, ależ ta pani Priscilla nas zawsze wymęczyła...) i — do pracy! Najpierw ćwiczenia muzyczne oraz taneczne w małych grupach, potem próba całości. Przerwa na posiłki i czasami pół godziny wolnego. I znów „wyciskanie potu". O 22.00 kończyły się próby i — można było odsapnąć!

Ale, choć po zajęciach wszyscy bywali już porządnie zmęczeni, to jednak nikt nie chodził spać od razu. Bo właśnie wieczorami znajdował się czas na żarty, pogaduszki i wspólne śpiewanie... Kuba z Krasnegostawu żartuje: — *Proszę spojrzeć na nas: pochodzimy z trzech krajów. Rozpiętość wiekowa — od 11 do 19 lat. Różnica wzrostu — jeszcze większa: 1,36 do 1,91 m* (to miara Amerykanina — Charltona). *A jak nam ze sobą dobrze!*

Pan Prezydent

Akcja musicalu Peace Child rozpoczyna się w 2035 roku. Trwa właśnie Światowy Dzień Pokoju. Wszyscy bawią się i cieszą. Wśród tańczących jest wnuczka i dziadek, który opowiada, że kiedyś na świecie nie było tak wesoło, spokojnie i pięknie. Po chwili akcja przenosi się w rok 1988. Niespokojna atmosfera i niechęć między narodami udzielają się także młodym, którzy przyjechali na Międzynarodowy Festiwal Piosenki Dziecięcej. Kłótnie, gniew, złość... I nagle między dziewczyną z USA i chłopcem ze Związku Radzieckiego rodzi się uczucie...

Jedną z końcowych piosenek w musicalu jest „Mr Prezydent". Śpiewana po angielsku, rosyjsku i polsku — jest listem dzieci do liderów dwóch mocarstw: Prezydenta USA i Sekretarza Generalnego ZSRR. Grupa amerykańska i jej choreograf proponowali, by piosenkę tę śpiewać stojąc bez ruchu, patrząc w oczy publiczności. Polacy, w wersji opracowanej przez siebie, wprowadzili układ taneczny. Który wariant jest lepszy? Jedni twierdzili, że ruch odciągnie uwagę widzów od tego, co najważniejsze: treści piosenki. Drudzy, że wręcz przeciwnie — wzmocni efekt. Każdy bronił swoich racji i nikt nie chciał ustąpić... Wtedy dorośli, którzy od dłuższego czasu nie mogli dojść do porozumienia, stwierdzili: niech zadecydują ci, co grają. I wyszli z pokoju, zostawiając młodzieży rozwiązanie problemu.

Przydałoby się zmienić ustawienie... zapisuje w swym zeszycie choreograf grupy amerykańskiej — Priscilla Bratton

Oni potrzebowali na to tylko pół godziny. *Kochani, o co się spieramy? Przecież nie możemy być tak głupio uparci jak bohaterowie, których gramy w przedstawieniu!* Amerykanie stwierdzili, że Polacy lepiej znają swoją publiczność — w związku z tym, niech będzie wersja z tańcem. Polacy przyznali, że amerykański wariant piosenki też warto wykorzystać. Znaleźli więc nowe rozwiązanie: fragmenty „Prezydenta" wykonywane po angielsku — zostaną statyczne. Te, śpiewane po polsku — będą tańczone.

— *Tak sobie myślę, że gdyby rozwiązanie różnych problemów powierzano dzieciom, to one lepiej dogadałyby się między sobą niż dorośli...*

— *Wydaje mi się, że pobyt na Peace Child sporo w nas zmienił. Bo o pokoju dużo się mówi w gazetach. Aż czasami to człowieka już nudzi. Ot, takie gadanie — myślimy — nic więcej. A tu — na naszym spotkaniu zobaczyliśmy, że rzeczywiście coś od nas zależy. Poczuliśmy, że sami też coś możemy zrobić!*

— *Tyle różnych rzeczy nasłuchaliśmy się o Polsce i Związku Radzieckim. W każdym kraju funkcjonują pewne stereotypy dotyczące innych narodów...* — mówi Jeane z Kalifornii. — *Ale trzeba było przyjechać i spotkać się z rówieśnikami, by zrozumieć, że właśnie takimi stereotypami myśleć nie wolno.*

— *My sami chyba także trochę inaczej patrzymy na drugich* — dodaje Monika. — *Myślę, że tej otwartości, której się tu nauczyliśmy — wystarczy nam na dłużej...*

Mają przed sobą jeszcze miesiąc wspólnych koncertów, ale już dziś martwią się, jak to będzie, gdy przyjdzie się rozstać we wrześniu. Trzeba będzie wrócić do domu w Waszyngtonie, Wilnie czy Biłgoraju... Ale prócz wspaniałych wspomnień i wielu nowych przyjaciół w różnych stronach świata zostanie — jak twierdzą dziewczęta i chłopcy z Peace Child — jeszcze także i to przekonanie, że różnice, o których wciąż słyszeli, wcale nie są takie ogromne. I że tak naprawdę — więcej ich łączy niż dzieli.

★ ★ ★

Koncert w chełmskim amfiteatrze dobiegł końca. Żegnani rzęsistymi brawami, wykonawcy wbiegli za kulisy. Wszystko poszło jak z płatka! Uściski, całusy, podskoki z radości. Reżyser przytula wszystkich po kolei: *Kochani byliście wspaniali!* Lecz po chwili dodaje: *Ale i tak musimy jeszcze nad niektórymi fragmentami popracować...*

Ekipa techniczna zwija dekoracje ze sceny. Publiczność wychodząc z amfiteatru nuci refren finałowej piosenki musicalu

Apelujemy do wszystkich ludzi —
Niech każdy w sobie pokój obudzi...

To chyba najlepsza droga do przyjaźni i pokoju w świecie...

IWONA STARZYŃSKA
Fot. **Bogdan Cabaj**

▲ ***Trwa właśnie próba musicalu Peace Child***

Może mikrofony przesuniemy trochę dalej — proponuje koledze Wiesław Pierogorólka ▶

Wszystko zaczęło się w 1981 roku, w Anglii. Wtedy właśnie dwaj artyści: scenarzysta i reżyser — David Woolcomb oraz poeta, a zarazem muzyk — David Gordon otrzymali zamówienie na program o tematyce pokojowej. Postanowiono, że będzie to barwny, pełen muzyki i śpiewu musical, w którym aktorami będą angielskie nastolatki.

David Woolcomb zainspirowany książką Bernarda Bensona pt. „Peace Book" stworzył scenariusz widowiska, a David Gordon skomponował muzykę i napisał teksty piosenek.

Po kilku miesiącach przygotowań spektakl „Peace Child" był gotowy i w październiku 1981 roku po raz pierwszy zaprezentowano go publiczności. Widzom ogromnie przypadł do gustu ów spektakl, w którym młodzi wykonawcy śpiewem i tańcem wyrazili wiele: kłótnie, złość, gniew, ale też uczucia sympatii, miłości i wspólną radość z pojednania.

Po sukcesach jakie odniosły wszystkie przedstawienia Peace Child w Anglii — zespół wykonawców został zaproszony na występy do Stanów Zjednoczonych. Tam okazało się, że amerykańskie nastolatki także chcą brać udział w musicalu. Same podsuwały kolejne pomysły, proponowały nowe piosenki. Przedstawienie stawało się coraz ciekawsze... Chęć wspólnej pracy młodych wykonawców doprowadziła w rezultacie do oficjalnego zawią nia Fundacji Peace Child.

Jej założyciele pomyśleli, że właśnie z tym programem liczne grupy dzieci i młodzieży mogłyby jeździć po świecie i zapraszać do swojego grona nowych kolegów. Takie spotkanie, wspólna praca i zabawa, możliwość sprawdzenia się w różnych życiowych sytuacjach — to wszystko może być wspaniałą przygodą, a także lekcją tolerancji i wyrozumiałości. Nawet, a może właśnie — szczególnie wtedy, gdy obok staną przedstawiciele państw lub narodowości, które nie pałają do siebie szczególną sympatią.

Pomysł sprawdził się w 1985 roku, kiedy to do Moskwy na Międzynarodowy Festiwal Młodzieży przyjechała amerykańska grupa Peace Child. Ani bariery językowe, ani różnice kulturowe nie przeszkodziły młodym w nawiązaniu wielu serdecznych przyjaźni. W rok później, podczas wakacji odbyła się rewizyta i tym razem Rosjanie gościli w Stanach Zjednoczonych.

Fundacja Peace Child rozpoczynająca działalność koncertową z jedną zaledwie, niezbyt liczną grupą, wciąż się rozrastała. Powstawały kolejne zespoły...

W lecie 1987 roku jedna z trzech amerykańskich grup powracając z koncertów w Związku Radzieckim zatrzymała się w Polsce. I choć byli tu krótko, to jednak ten czas wystarczył, by szef Teleexpressu — Oskar Bramski i dyrektor Młodzieżowej Agencji Kultury z Zamościa — Leonard Marczuk namówili Steve Riffkina — dyrektora artystycznego Fundacji na występy Peace Child w Polsce.

W musicalu, który prezentowany jest w różnych miastach naszego kraju, biorą udział młodzi wykonawcy z Polski, Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego.

Współorganizatorami Peace Child in Poland'88 są: Młodzieżowa Agencja Kultury w Zamościu, Teleexpress i Peace Child Foundation. Przedsięwzięcie wsparli sponsorzy: Biovital, Orbis (m.in. udostępniając gratisowo autokary na całą trasę koncertową) i firma Curtis Otake (fundując nagrody dla publiczności).

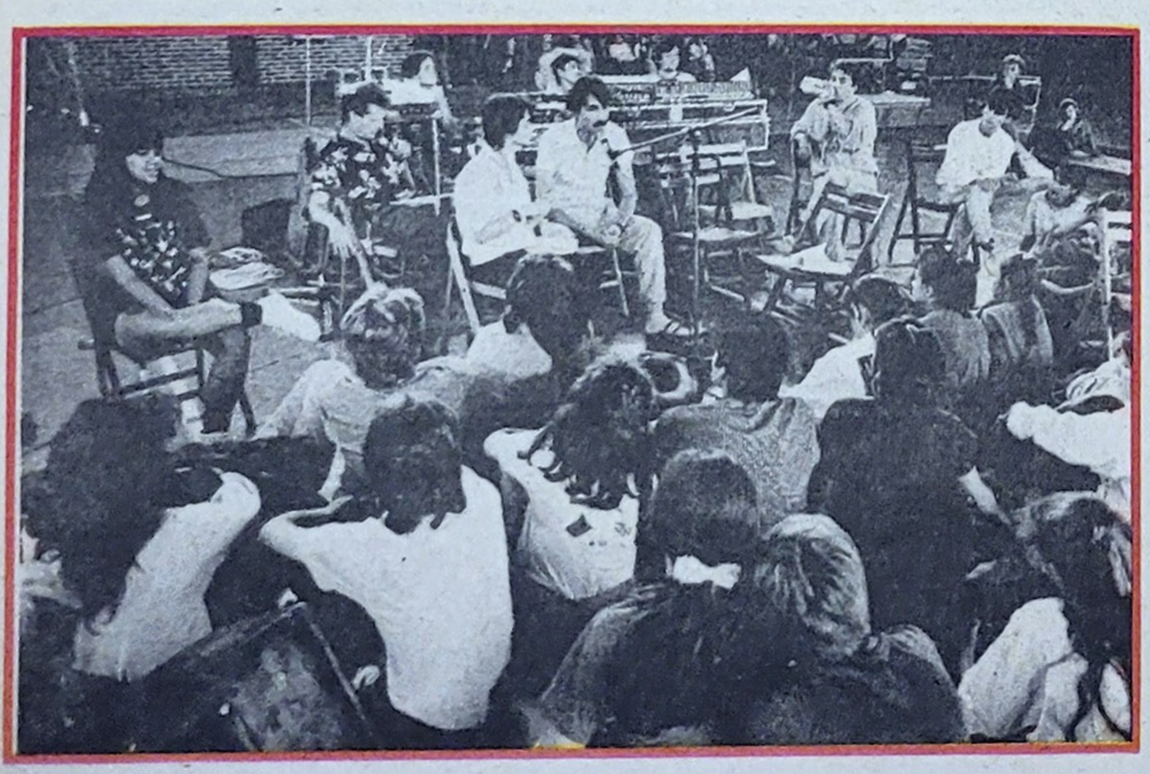

◀ ***Było dobrze, ale w tańcu zapominacie o kilku rzeczach... Uwag reżysera — Mariusza Malinowskiego wszyscy wysłuchują w skupieniu***

Uff... Chwila odpoczynku... ▼

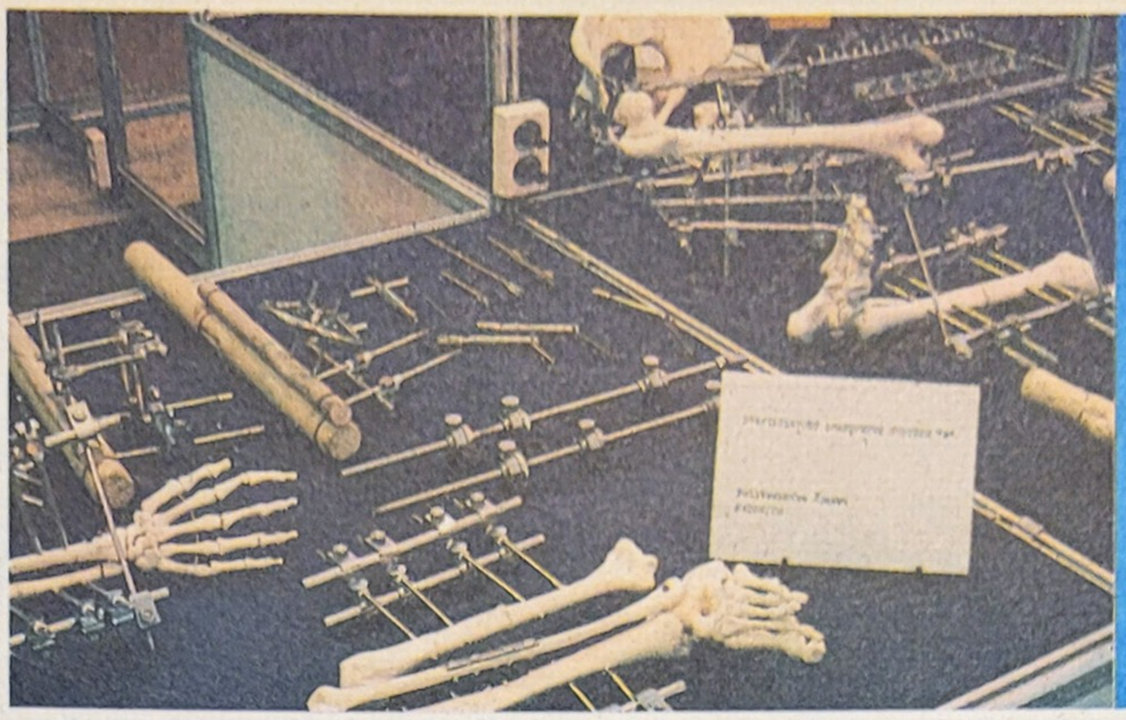

Zamiast aparatu ortopedycznego

STABILIZATORY DOKTORA KONZALA

Oddział chirurgii urazowo-ortopedycznej w raciborskim szpitalu jest niewielki. Kilka ciasnych sal i długi wąski korytarz obstawiony, gdzie się tylko da, łóżkami. Mimo tej ciasnoty zjeżdżają tu ludzie z całej Polski — Gorzowa Wielkopolskiego, Krakowa, Poznania, Szczecina... Wszyscy, którzy wiedzą już o stabilizatorach „R" doc. Konzala i jego nowej metodzie wydłużania kości.

Pierwszymi pacjentami raciborskiego ortopedy były owce, uznane przez niego za najsympatyczniejsze i najbardziej wyrozumiałe zwierzęta. Swoje badania prowadził w Wojewódzkim Zakładzie Weterynarii w Opolu. Tu miał własny stół operacyjny i dwa, do swojej tylko dyspozycji, zwierzęce boksy. W sumie zoperował sto sztuk. Nie od razu jednak przystąpił do wydłużania kości u ludzi. Przez kilka lat czekał na wyniki i dopiero, gdy potwierdziły się w stu procentach, zdecydował się na wprowadzenie metody do swej praktyki lekarskiej. Dziś już wiadomo, że się sprawdziła.

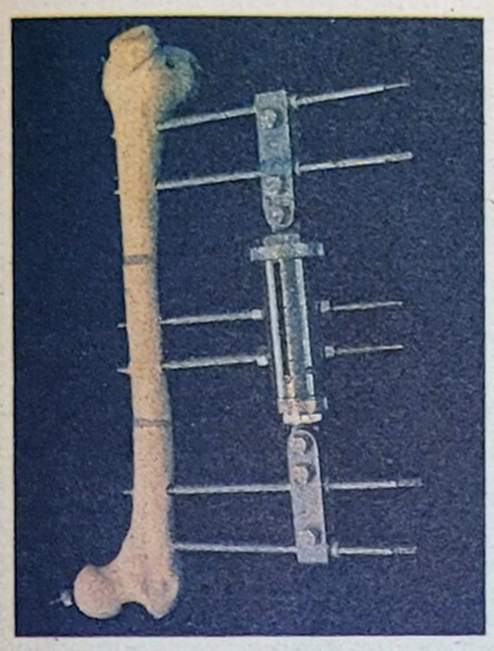

Jej istotę stanowią stabilizatory, zwane w skrócie „erkami" Urządzenie jest w całości pomysłem docenta.

— *Już w szkole średniej interesowała mnie matematyka i fizyka* — mówi doc. Stanisław Konzal. — *W mojej głowie zawsze kotłowało się mnóstwo pomysłów. Wśród nich była też koncepcja stabilizatora. Nie znałem jednak człowieka, który mógłby ją zrealizować: przelać na papier i podjąć się produkcji. Aż kiedyś usłyszałem o prof. Adamie Gierku, członku PAN! Zadzwoniłem do niego i w drodze wyjątku zostałem przyjęty. Właśnie wtedy przedstawiono mi dr. inż. Zygmunta Rafalskiego. Nawiązałem z nim współpracę...*

Współpraca ta trwa do dziś. Wiele wspólnych publikacji, ponad 30 patentów. Wszystkie marzenia, nawet te pozornie nierealne, młody inżynier potrafi przenieść na deskę kreślarską i odtworzyć szczegół po szczególe.

Raciborskie urządzenie jest stosunkowo proste. Zasadniczym elementem jest tu wysięgnik — stalowy drążek, którego długość musi być dokładnie dopasowana po długości wydłużanej kości. Stabilną podstawę gwarantuje rusztowanie — sześć stalowych prętów wkręcanych do kości. Na nie dopiero zakłada się wysięgnik, do którego wmontowana jest niewielka sprężyna. Lekkie przykręcenie nakrętki powoduje jej rozciąganie, a tym samym wydłużanie kości.

Samo urządzenie to jeszcze nie wszystko. Wydłużania nie mozna byłoby prowadzić bez przecięcia kości. I tutaj doc. Konzal posługuje się własną, wypracowaną przez siebie metodą bez naruszania szpiku. Czynność ta trwa nie dłużej niż 3-4 minuty. Tak szybko robi to jeszcze tylko na Zachodzie prof. Wagner, przecinając jednak z kością i szpik kostny.

Proces wydłużania rozpoczyna się w piątym dniu po operacji. Chory sam, codziennie o jeden milimetr, przykręca śrubę.

Operacja i proces wydłużania są bezbolesne. Nie ma krytycznych godzin ani dni. To wynika z techniki prowadzenia zabiegu i możliwości urządzenia, które pozwala wydłużać jednocześnie nawet dwie kości udowe.

Na razie doc. Konzal operuje przypadki skrócenia od 4 do 30 cm i szczególnie trudne przypadki ubytków kości.

— *Na leczenie mniejszych skróceń jeszcze nas nie stać* — wyjaśnia. — *Oddział liczy tylko 80 łóżek, a jako szpital miejski musi w pierwszej kolejności zaspokajać potrzeby regionu. To jest jedyny szpital w Raciborzu...*

Rocznie na oddział trafia 1500–1600 chorych. Niektórzy dowiedzieli się o polskiej metodzie z radia. Inni przeczytali notatkę w „Expressie Wieczornym".

Dla 11-letniej Kasi była to już ostatnia szansa. Ma zwichnięty staw biodrowy. Porusza się tylko o kulach. Każdy, nawet pozornie niegroźny upadek kończy się dla niej złamaniem nogi. Teraz zupełnie przypadkiem złamała ją po raz czwarty. Od kilkunastu miesięcy krótsza o siedem centymetrów noga nie zrasta się. Poprzednie dwie operacje prowadzone przez innych ortopedów nie przyniosły żadnych efektów, a czas działał na niekorzyść dziecka. Doszło do zaników mięśniowych. Tkanka tłuszczowa przerosła mięśnie.

— *W tym przypadku mieliśmy do zrealizowania dwa zadania* — mówi doc. Konzal. — *Wydłużyć kończynę i uzyskać prawidłowy kąt szyjkowo-trzonowy. U Kasi wynosił on zamiast przepisowych 125–130 st. zaledwie 90 st.*

Teraz nóżka jest już na swoim miejscu i już niedługo Kasia będzie mogła sama spacerować po parku...

Wśród chorych dzieci jest też 5-letni Michał. Prawą nóżkę ma krótszą od lewej o 17 cm. Urodził się z wadą stawu biodrowego i nigdy dotąd nie chodził. Zrozpaczeni rodzice wydali 30 tysięcy marek na leczenie w RFN, bo o doc. Konzalu jeszcze wtedy nie słyszeli. Operacja nie udała się. Ciałko chłopca zaczęło ropieć, a z czasem gnić. Nie dawano najmniejszych szans. Przywieziono go więc do kraju, wprost do Raciborza, o którym w międzyczasie matka dowiedziała się z radiowej trójki. Dziś Michał czuje się dobrze. Rana zagoiła się, a nóżka powoli wydłuża się.

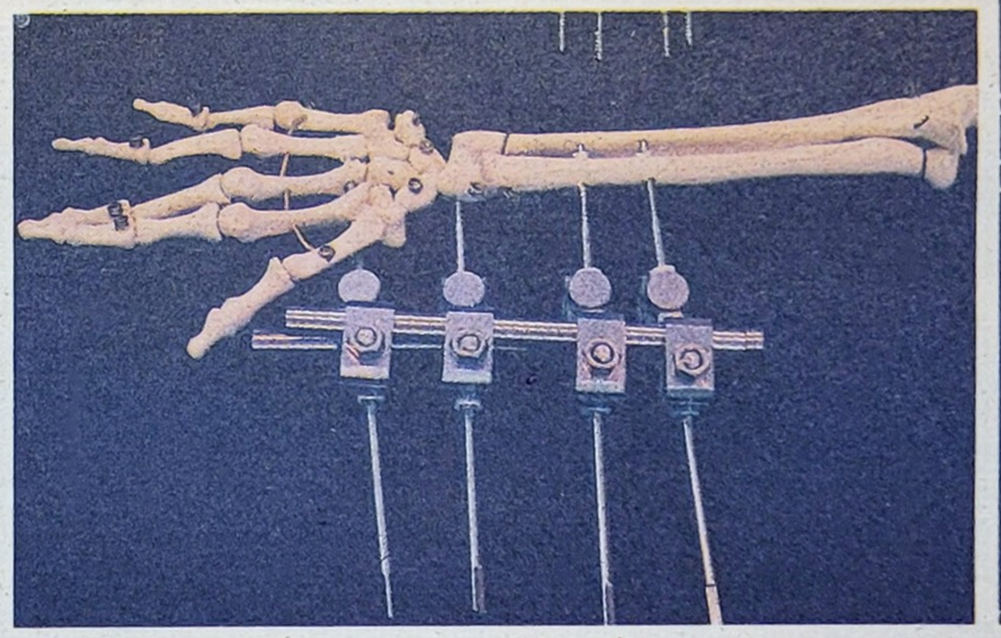

Wydłużeniem kości zajmuje się na świecie niewielu ortopedów. W Polsce najwięcej rozgłosu uzyskał radziecki aparat prof. Ilizarowa. Jego technika różni się znacznie od metody polskiej. Ilizarow nawierca kość przeprowadzając przez nią skrzyżowane cienkie druty, mocowane w obudowie o kształcie pierścieni. Pozwala to na dość dokładne zespolenie odłamków, bez unieruchomienia stawów i bez gipsowego opatrunku.

Aparat Ilizarowa liczy już sobie 30 lat. Nic więc dziwnego, że doczekał się konkurencji. Także ze strony polskiej.

BOŻENA STĘPIEŃ
Fot. **Zbigniew Bisanz**

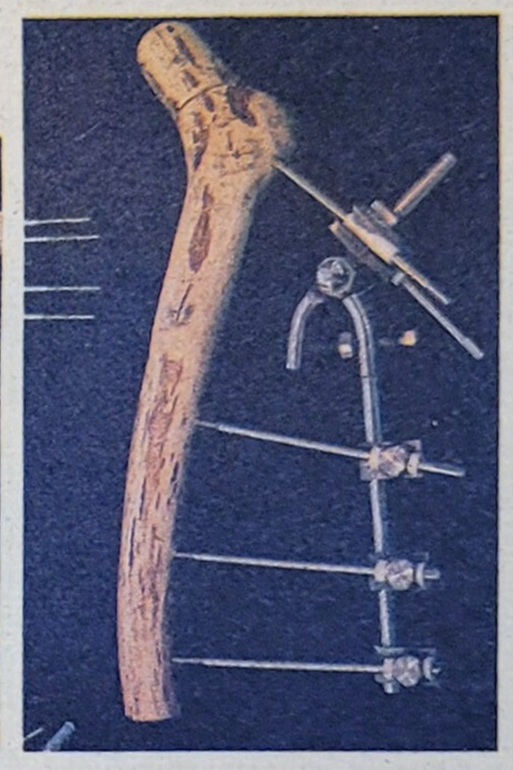

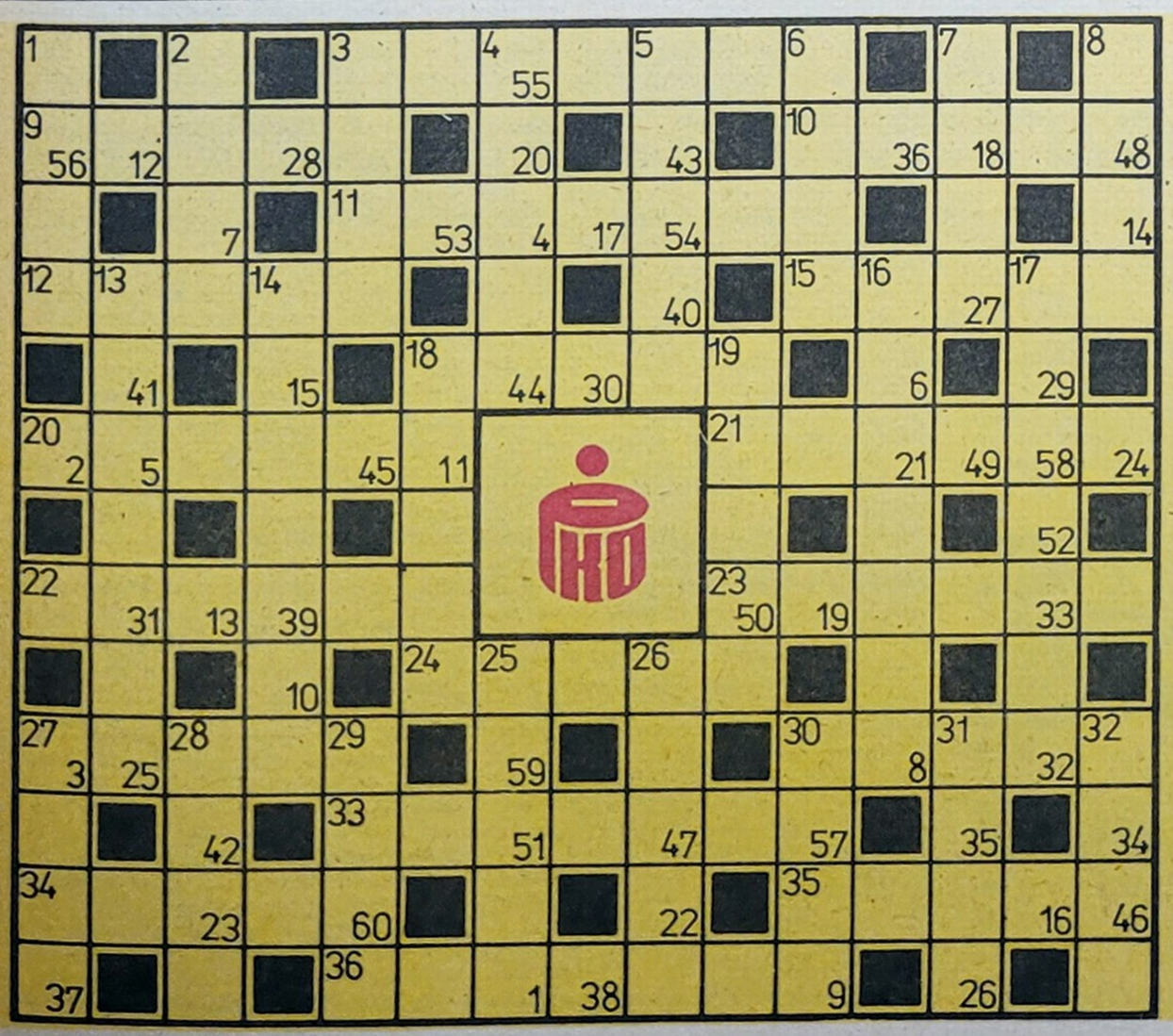

KRZYŻÓWKA SZKOLNEJ KASY OSZCZĘDNOŚCI

Litery z kratek ponumerowanych w prawym dolnym rogu, napisane w kolejności od 1 do 60, utworzą hasło, które wystarczy nadesłać jako rozwiązanie. Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu 10 bonów PKO po 500 zł. Rozwiązania na kartkach pocztowych należy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem: „Świat Młodych", ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, z dopiskiem „Krzyżówka SKO".

ZNACZENIE WYRAZÓW

POZIOMO: 3) z zamrażalnikiem, 9) fiński biegacz, konkurent Kusocińskiego, 10) miasto w woj. katowickim, 11) kość czaszki, w której osadzone są zęby, 12) droga bita, szlak komunikacyjny, 15) kura wodząca kurczęta, 18) poseł, wysłannik, 20) zastępują pasek, 21) wesoły nastrój, 22) uchwyt, rękojeść, 23) ciemnoniebieski kamień szlachetny, 24) ilość pracy wyznaczona do wykonania w określonym czasie, 27) rezerwa, 30) przedmiot, 33) między dwoma podporami mostu, 34) ssak z rodziny żyraf, 35) ogół czasopism, 36) pielęgniarka.

PIONOWO: 1) kość, 2) wojsko tatarskie, 3) w kopercie, 4) dmuchanie w trąbkę, 5) nisza, 6) natarcie, 7) z trąbką Eustachiusza, 8) kluska z surowych i gotowanych ziemniaków, 13) rozstanie, 14) zderzenie się pojazdów będących w ruchu, 16) łapie na żywca, 17) szkielet, 18) kraj z cedrem w godle, 19) szlak, 25) leci w pończosze, 26) wciąga się nań flagę, 27) żelastwo, 28) zamiar, zamysl, 29) wykaz, lista, 30) naftowa, 31) część wyścigu kolarskiego, 32) stos, sterta.

PODMORSKI KRATER

USA (PAP). 50 mln lat temu spadł na Ziemię asteroid o średnicy ok. 2–3 km. Uderzył w północno-zachodnią część Atlantyku, ok. 200 km na południowy wschód od wybrzeży Nowej Szkocji w Kanadzie. Powstał tam krater o średnicy około 45 km i głębokości 2,7 km. Krater ten został odkryty przez kanadyjskich geologów prowadzących badania dna morskiego w związku z poszukiwaniem złóż ropy naftowej i gazu ziemnego. Wiek krateru rozpoznano dzięki analizie pokrywających go osadów dennych. Jest to pierwszy krater kosmicznego pochodzenia, jaki znaleziono na dnie morza — pod wodą.

Ponieważ powierzchnia oceanów na kuli ziemskiej jest większa od powierzchni lądowych — takich podwodnych kraterów może być znacznie więcej. Prawdopodobnie zachowały się one w nie zmienionej postaci, gdyż pod wodą nie występują tak intensywne procesy geologiczne jak na lądach.

Asteroid, który upadł u wybrzeży kanadyjskich, wybuchł w momencie zbliżania się do powierzchni morza. Została po nim zwiększona koncentracja irydu — pierwiastka pochodzenia kosmicznego, występującego w dużych ilościach w asteroidach.

ŚWIAT NA DWÓCH KÓŁKACH

MOTOCYKLE ZABYTKOWE

KLUB POSIADACZY MOTOCYKLI WYPRODUKOWANYCH W POLSCE LUDOWEJ

W związku z opublikowanymi w naszym kąciku (w miesiącu lipcu) materiałami o zabytkowym motocyklu marki SHL 125 M 04 i podaną informacją o **„Klubie Posiadaczy Motocykli Wyprodukowanych w Polsce Ludowej"** napływa do mnie sporo korespondencji w tej sprawie.

Duża część tej korespondencji dotyczy motocykli zabytkowych wyprodukowanych w latach 30. i 40. i to głównie przez firmy zagraniczne.

Jak na razie małe jest zainteresowanie motocyklami krajowymi wyprodukowanymi w okresie po drugiej wojnie światowej. Jednakże propozycję utworzenia „Klubu Posiadaczy Motocykli Wyprodukowanych w Polsce Ludowej" nadal podtrzymuję z wielu względów, a oto dwa najważniejsze z nich:

— nasz krajowy przemysł motocyklowy jeszcze nie tak dawno produkował wiele udanych modeli motocykli i gdyby ich konstrukcje były rozwijane i udoskonalane, moglibyśmy stać się jednym z liczących się krajów w zakresie produkcji jednośladów,

— krajowych motocykli liczących już ponad 25 lat jest jeszcze wśród użytkowników dość dużo (pomimo tego, że znaczna ich część trafia jeszcze ciągle na złom) i z tego względu jest je stosunkowo łatwo zdobyć, odbudować, odnowić lub zrekonstruować, co jest nie bez znaczenia zwłaszcza, że propaguję ich kolekcjonowanie wśród ludzi młodych, nie mających pod tym względem dużej praktyki i środków finansowych, które mogą przeznaczyć na ten cel.

W związku z powyższym trudno mi się zgodzić z przysłaną przez Grzegorza Urbana z Nowej Wsi w woj. rzeszowskim propozycją zmierzającą do tego, aby ramy Klubu udostępnić dla posiadaczy polskich przedwojennych motocykli i motocykli powojennych importowanych do nas głównie z takich krajów jak: Czechosłowacja, NRD i ZSRR.

Niestety, polskie motocykle przedwojenne są bardzo trudne do zdobycia, trudno jest też o jakiekolwiek części zamienne do nich, jeżeli zaś oferowane są do sprzedaży, żąda się za nie bardzo dużych kwot pieniężnych.

Co zaś tyczy się motocykli powojennych, wyprodukowanych w innych państwach, to myślę, że bardziej celowe jest propagowanie w ramach Klubu wyrobów polskich fabryk i zawartej w nich pracy i myśli technicznej polskich robotników, techników i inżynierów.

Tak więc nadal oczekuję na zgłoszenia chętnych do uczestnictwa w „Klubie Posiadaczy Motocykli Wyprodukowanych w Polsce Ludowej". Warunkiem przynależności jest posiadanie sprawnego, dobrze utrzymanego lub odrestaurowanego motocykla powojennej produkcji liczącego co najmniej 25 lat. Oczekuję też na zdjęcia tych motocykli, w celu ich zaprezentowania na łamach naszego kącika.

Ponieważ, jak już informowałem na wstępie, problematyką starych motocykli (tą wychodzącą poza ramy naszego klubu) interesuje się wielu czytelników, dlatego co pewien czas zamierzam powracać do tej tematyki, oczywiście pod warunkiem, że będę od zainteresowanych otrzymywał odpowiednie materiały.

A dzisiaj pierwsze problemy posiadaczy tych zabytkowych jednośladów, którzy mają nadzieję, że za naszym pośrednictwem znajdą jakieś rozwiązania.

Waldemar KRZYŻANOWSKI, Biadaszki 21, 98-406 OSTRÓWEK, pragnie zakupić motocykl zabytkowy, reflektuje na pojazd możliwie kompletny i przy tym niedrogi.

Dariusz RUCIŃSKI, ul. Reja 4 b, 87-640 CZEMIKOWO, jest posiadaczem motocykla marki NORTON 650 (nie podaje, z którego roku). Poszukuje do tego motocykla przedniego koła, lampy przedniej i podnóżek kierowcy. Pragnie również zakupić motocykl

marki BMW R 75 z 1928 roku, może on być do remontu lub w stanie niekompletnym.

Marek WALDEMAR, Rogity 27 b, 14-500 BRANIEWO, jest posiadaczem motocykla marki IZ 350 z 1956 roku. W celu wiernego zrekonstruowania tego motocykla poszukuje jego dokumentacji technicznej oraz następujących części zamiennych: prądnicy lub wirnika do prądnicy, regulatora napięcia, przyspieszacza zapłonu, krzywki do aparatu zapłonowego.

Grzegorz SOWIŃSKI, os. Manifestu Lipcowego 15/8, 61-374 POZNAŃ, poszukuje do skutera marki Lambretta 150 Ld z lat 50., zbiornika paliwa, gaźnika oraz schematu instalacji elektrycznej.

Ilustrację do tego odcinka stanowią zdjęcia zabytkowych motocykli prezentowanych na również zabytkowym rynku w Sandomierzu w ramach Ogólnopolskiego Konkursu Pojazdów Zabytkowych, który odbył się w maju br.

ZENON DUTKIEWICZ
Fot. **autora**

KLUB PTAKOLUBÓW ŚWIATA MŁODYCH

ZMIERZCH PTASIEGO LATA

- BOCIANIE CHMURY
- PUSTUŁKI W STOLICY
- SKĄD PEWIEN WRÓBEL SPOGLĄDAŁ NA ŚWIAT
- SZCZYGIEŁ OSTRZEGA POKLĄSKWĘ

Zadanie, dotyczące obserwacji sejmów bocianich nie zdążyło jeszcze opuścić redakcji i powędrować do drukarni, a już nadszedł list, który jest jakby wymarzoną na nie odpowiedzią. Przyznam, że bardzo lubię takie sytuacje. Jeżeli w chwili, gdy obmyślam i formułuję na papierze jakieś zadanie, nadchodzą listy to zadanie niejako uprzedzające — stanowi dowód, że owo zadanie nie trafi w próżnię, że jest potrzebne i na czasie. Tak stało się tym razem. Pisze **Czesław Kamerdyn z Krasznic w woj. sieradzkim**. *„Było około godziny 20.00, gdy na horyzoncie ukazała się dosłownie „chmura" ptaków. Były to bociany białe. Było ich tak dużo, że trudno było je policzyć. Z każdą chwilą nadlatywało ich coraz więcej. Ponieważ zbliżała się noc, postanowiły, tu w mojej wsi, przenocować. Zaczęła się walka o miejsca noclegowe. Siadały po kilka osobników na słupach, drzewach, domach itp. Całe to zamieszanie trwało około 1,5 godz. i nawet wówczas gdy było już ciemno. Słychać było trzepotanie skrzydeł na drzewach, a niektóre ptaki jeszcze krążyły w poszukiwaniu dogodnego miejsca.*

Rano nie było już żadnego i tylko ich odchody, pióra i połamane suche gałęzie świadczyły, że tu spędziły noc. Niestety jeden z bocianów został śmiertelnie porażony prądem. Znaleziono go pod słupem. Był to młody tegoroczny ptak (miał czarny dziób i ciemne nogi)".

Ciekawe, kto jeszcze obserwował takie sejmy bocianów. A może widywaliście je też w stadach mieszanych z innymi, dużymi ptakami? Przy okazji: autorowi przedstawionego przed chwilą listu dziękujemy za bardzo krzepiące pozdrowienia!

A teraz relacja, której wcześniej czy później się spodziewaliśmy, a która jakoś długo nie nadchodziła, aż wreszcie... Oto, co pisze **Michał Chomiuk z Michałowa w woj. lubelskim**, który znalazł się w Warszawie na wycieczce szkolnej i ... *„Pierwszym punktem zwiedzania był Pałac Kultury i Nauki. Kiedy byliśmy już na 30 piętrze i obserwowaliśmy Warszawę z góry, nagle bardzo blisko okna, prawie na wyciągnięcie ręki, przeleciała pustułka. Kiedy już byłem znów na dole, zobaczyłem znacznie więcej tych sokołów, naliczyłem ich 4, lecz chyba było ich więcej."*

O ile mi wiadomo, na „skale" PKiN gnieżdżą się właśnie 2 pary pustułek i dlatego widujemy w pobliżu tej budowli 4 osobniki. Ale — kto wie, może jest ich więcej? Zwiad Klubu Ptakolubów będzie próbował to ustalić. Pustułki widujemy też na innych budowlach warszawskich w centrum miasta — m.in. budynkach Ściany Wschodniej i hotelu „Forum". Są to prawdopodobnie te same ptaki, mające tu swe punkty obserwacyjne. Jednym z takich „obserwatoriów" jest, jak zauważyłem, okazały neon hotelu „Forum".

Tak to doszliśmy do ptasich „obserwatoriów" i „mebli". (zadanie nr 1 z sierpnia); pisze o tym **Dariusz Kozioł z Brudzewic w woj. szczecińskim:** *„Znalazłem, choć właściwie nawet nie musiałem go szukać, ptasi „mebel". Ten mebel można nazwać obserwatorium. Jest nim mianowicie wierzchołek dachu mojego domu, odcinek między kominem a zakończeniem dachu, liczący niewiele ponad 1 metr. Tak w porze lęgowej, jak i później przesiadywał tam samiec wróbla. Gniazdo miał kilkanaście metrów dalej w owej budce szpaczej, o której pisałem wiosną. Wróbel najczęściej siedział na samym rożku dachu, zawsze jednak na tym odcinku do komina. Teraz, po lęgach obserwatorium jest puste".*

O obserwatoriach ptasich pisaliśmy niedawno na przykładzie pokląskwy. Dariusz też pisze o tym ptaku, ale w związku z czerwcowym zadaniem nr 2. *„Nagle ze ścierniska poderwał się z ostrzegawczym głosem szczygieł. W ułamek sekundy za nim wzbił się w powietrze prawie z tego samego miejsca drugi ptak, który po chwili usiadł na sterczącym kołku. Dopiero wówczas sam zaczął wydawać ostrzegawcze tony, na przemian 2 krótkie, bezdźwięczne i nieco dłuższy melodyjny gwizd. Była to pokląskwa. Ptak był mniej więcej wielkości wróbla. Wierzch miał podobny do wierzchu wróbla, spód znacznie jaśniejszy. Przez oko przechodziła duża czarna plama, nad i pod nią biała pręga. Dziób miał dłuższy niż wróbel i delikatniejszy. Myślę, że reagowanie na objawy niepokoju drugiego gatunku jest bardzo korzystne dla ptaków. Pozwala ono na szybkie zorientowanie się, że zbliża się niebezpieczeństwo".* Czekamy na dalsze przykłady takiej nieświadomej „współpracy" ptaków w obronie przed różnymi zagrożeniami. Kilka przykładów znaleźliśmy już w listach ptakolubów i niebawem je wykorzystamy.

TOMASZ KŁOSOWSKI
Fot. **autora**

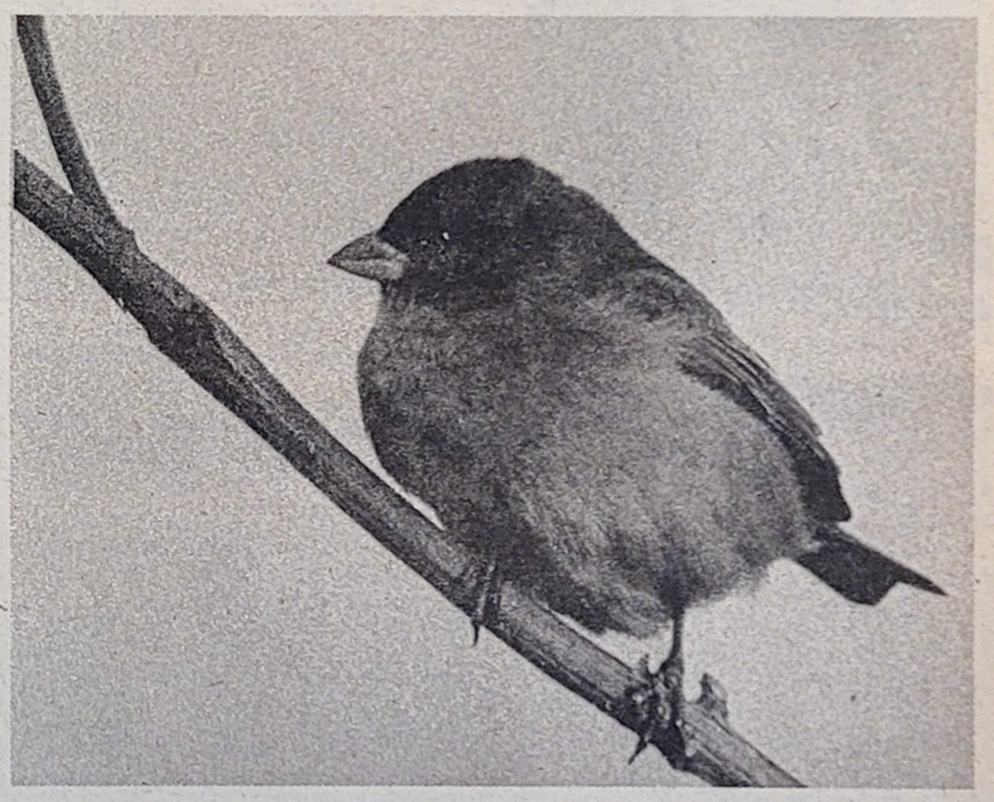

Zielono mi (169)

Pieriestrojka w ogródku

Jedne z najpiękniejszych roślin w ogródku to rośliny wieloletnie zwane bylinami. Spotykamy w ich królestwie nieprawdopodobne bogactwo kształtów, wielkości i barw. Są wśród nich maleńkie roślinki czepiające się nagich skał, sadzone w ogródkach skalnych (**skalnice, rojniki, rozchodniki**), niskie rośliny płożące się po ziemi i tworzące zwarty kobierzec (**barwinek, rogownica, tojeść**) jak i okazałe gatunki dorastające do półtora metra wysokości (**parzydło leśne, ligularia i inne**). Wśród bylin znajdujemy gatunki odpowiednie na każde miejsce. Na glebę bardzo suchą (**czyściec**) i na podmokłą (**funkia**), i na zacienioną (**serduszka**). Są wśród nich rośliny zakwitające już spod śniegu (**śnieżyczka, krokus**), rośliny kwitnące przez całe lato (**dzwonki**) i rośliny kwitnące późną jesienią (**zimowit jesienny**).

Sądzę, że bylin dłużej zachwalać nie trzeba, zresztą są one w każdym ogródku, a najbardziej popularne to **narcyzy, peonie, floksy, pierwiosnki, złocienie i astry trwałe**. Byliny najlepiej jest sadzić na rabatce grupami po kilka lub kilkanaście roślin tego samego gatunku w jednym miejscu. Grupa roślin powinna mieć kształt nieregularny, tak, jak to spotykamy w naturze. Jeśli rabatkę z bylinami sadzimy wzdłuż ściany domu, ścieżki lub płotu, to z frontu dajemy rośliny najniższe, w środku średnie, a z tyłu najwyższe. W ten sposób sadzone będą się najładniej prezentować.

Rabatka bylinowa wzdłuż ścieżki do domu

Rośliny cebulowe zakwitające wcześnie na wiosnę, jak przebiśniegi, śnieżyce, szafirki, krokusy i narcyzy najlepiej jest sadzić w głębi rabatki. Wiosną rośliny te będą dobrze widoczne, ponieważ rośliny sąsiednie będą się dopiero budzić do życia. Po przekwitnięciu roślin cebulowych i zaschnięciu liści puste miejsca zostaną przysłonięte przez rośliny, które rozrastają się w ciągu lata.

Wszystko to pięknie, powiecie, ale dlaczego „pieriestrojka w ogródku"? Dlatego, że jak się przez kilka lat uprawia byliny w jednym miejscu, to dzieją się dziwne rzeczy. Niektóre z nich tak się rozpychają łokciami, że wypierają i duszą zupełnie byliny słabsze. Szczególnie eskpansywne są rośliny kłączowe (**konwalia**) lub zadarniające (**rogownica**). Rośliny te, jeśli nie są ograniczone, potrafią wydusić wszystko co delikatniejsze.

Jeszcze większy kłopot sprawiają chwasty trwałe (**perz, trawy rozłogowe, skrzyp i powój**), które we wszelki możliwy sposób wciskają się w rabatki i są niekiedy trudne do usunięcia.

Co kilka lat warto na rabatkach zrobić gruntowną pieriestrojkę. Odpowiednią porą do tej pracy jest wrzesień lub wczesna wiosna. Byliny, które rozrosły się nadmiernie, trzeba wtedy wykopać, podzielić ostrym szpadlem na części, oczyścić z chwastów trwałych i posadzić w taki sposób, aby nie dusiły innych roślin. Byliny delikatne, o dużych wymaganiach pokarmowych rosną niekiedy mizernie z powodu wyczerpania się gleby z dostępnych składników. Byliny takie należy wykopać z całą bryłą korzeniową i odłożyć na bok. Następnie trzeba pogłębić dołek gdzie rosły, wybrać jałową ziemię i dorzucić w to miejsce kompostu lub torfu, posadzić rośliny na powrót. Rośliny cebulowe, jak narcyzy, szafirki, krokusy, hiacynty i inne, rosnące długo na jednym miejscu również stają się mizerne z powodu nadmiernego zagęszczenia cebul w ziemi, rozwoju chwastów trwałych i braku składników pokarmowych. Trzeba je co kilka lat wykopać, zasilić ziemię kompostem i posadzić na powrót.

Wykopywanie i przesadzanie roślin trwałych jest okazją do zmian na rabatce. Wysokie rośliny rosnące na froncie warto przesadzić do tyłu, w głąb zaś niskie. Rośliny cieniolubne można przenieść w miejsce zacienione, na przykład od strony północnej budynku, jeśli rosną one w miejscu nasłonecznionym i źle się czują. Przy okazji tych zmian zostanie nam na pewno sporo roślin zbytecznych, które możemy rozdać znajomym lub wymienić na inne, ciekawe gatunki. Przesadzone rośliny należy obficie podlać!

AUGUSTYN MIKA

ZIELONA POCZTA

Łukasz Kobajło, osiedle B. Chrobrego 15/236, 60-685 Poznań, pragnie wymienić sadzonki roślin egzotycznych. **Jarek Stadnik, ul. Narutowicza 38/42 m. 24, 20-016 Lublin,** odstąpi nasiona arbuza, melona i rodzynka brazylijskiego w zamian za nasiona figi, granatu i kakao. **Arek Jaskólski, ul. Wioślarska 20/22 m. 75, 94-036 Łódź,** odstąpi nasiona 20 gatunków kaktusów w zamian za plakaty kaktusów. **Jacek Kupiec, Żylice 23, 63-900 Rawicz,** odstąpi sadzonki wielu gatunków kaktusów w zamian za nasiona lub sadzonki roślin egzotycznych: granatu, ananasa, kawy, papai, palmy lub innych. **(am)**

GŁĘBOKIE WIERCENIA NA ANTARKTYDZIE

(PAP). Uczeni nowozelandzcy przeprowadzili głębokie wiercenia we wchodniej Antarktydzie na Morzu Rossa. Wykonali w cieśninie Mac Murdo otwór nazwany CIROS 1, który miał umożliwić rozpoznanie geologicznej budowy tego rejonu. Przy okazji starano się uzyskać dane dotyczące historii zlodowaceń Antarktydy, a szczególnie ich najstarszych faz. Badano także procesy górotwórcze, które ukształtowały grzbiet transantarktyczny.

Wiercenia prowadzono w lodowcu, pod którym głębokość oceanu wynosi ok. 198 m. Otwór osiągnął głębokość 702 m pod dnem oceanu, co w tych warunkach jest wynikiem rekordowym. Uzyskano rdzenie lodowe i próbki skał z ostatnich 50 mln lat. Badania potwierdziły wcześniejsze hipotezy, że zlodowacenia Antarktydy rozpoczęły się parę milionów lat wcześniej niż sądzono. Natrafiono też na ślady przesuwania się zlodowacenia ze wschodu na zachód. Na uwagę zasługują liczne ślady skamieniałej fauny i flory, w tym liście południowych drzew. Świadczy to, że kiedyś klimat Antarktydy był cieplejszy i rosły tam bujne lasy. Prawdziwą rewelacją było znalezienie na głębokości 630 m warstwy ciemnego piasku ze śladami ropy naftowej i gazu ziemnego. Świadczy to o istnieniu struktur roponośnych pod Morzem Rossa.

Warto zobaczyć w Kołobrzegu

Kołobrzeski ratusz, świeżo wyremontowany, zdobi Stare Miasto. Warto zajrzeć również do wnętrza, gdzie czynna jest wystawa starej zbroi i jej miniatur. Eksponaty zostały w większości wykonane w pracowni metaloplastyki Śląskiego Okręgu Wojskowego.

Fot. **CAF**

Autorką mego portretu jest **Marzena Dynak**, którą zapisuję do Rzepklubu. Pewne nieporozumienie polega na tym, że ja wywodzę się z innych Rzepów, tych od psiego ogona, zaś przedstawiony powyżej osobnik wyraźnie pochodzi od rzepy...

Redaguje
WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

Cześć!

● Szuflada z rysowanymi przez Was moimi portretami — pusta! Pałęta się jeszcze po kątach kilka marniutkich, ale brak dobrych, nadających się do druku.

● Autoportrety psychologiczne nadchodzą. Zebrała się już niemała sterta całkiem niezłych, większość jednak idzie do kosza, bo są to powtórzenia tematu: „mieszkam w zadymionym mieście, a dusza rwie się do raju..." Nie mogę przecież w kółko tego drukować. Popatrzcie na dzisiejszy autoportret (poniżej). Jest wspaniały!

Do zobaczenia
Wasz **Rzep**

— Za rok wrócimy, panie gajowy. Na stare śmieci!..

AUTOPORTRET PSYCHOLOGICZNY

Namalowała Paulina Sroczyńska, którą zapisuję do Rzepklubu. Wszystko tu jasne: przyjaźń, nadzieja, optymizm!

RZEPKLUB

Zamieszczone obok żartobliwe rysunkowe wyszperał **Darek Kłos**, członek klubu.

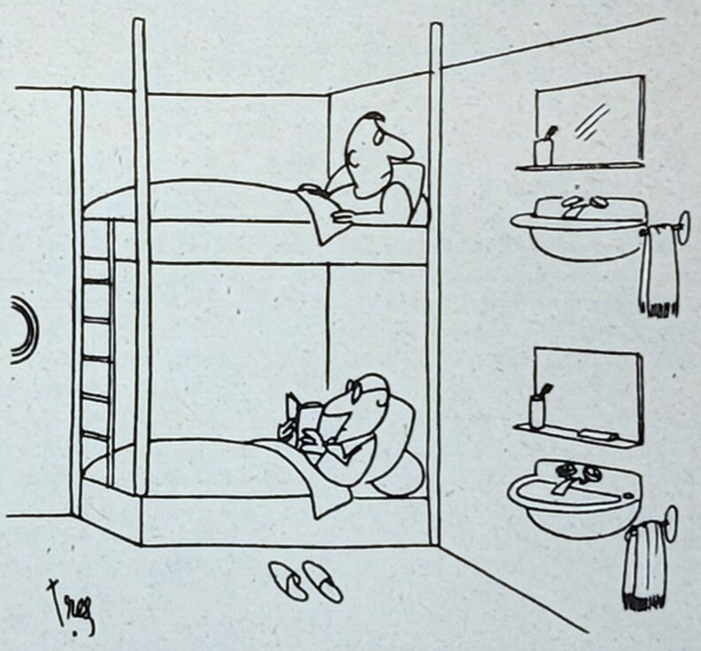

NOWE PAPIEROSY!

Zaprojektował **Sylwester Pawłowski,** którego zapisuję do klubu. Zaklinałem się, że nigdy więcej nie zamieszczę trupiej główki, bo to banalne... ale ta ma tyle wdzięku!..

wrócił na wschód. Roman długo stał z uniesioną głową, a przy nim ta jego zwariowana Kalina.

Złapał Kalinę za postronek i pociągnął w stronę wierzb.

Kalina pozwoliła się doprowadzić do kępy drzew, odczekała uprzejmie, aż Roman wbije kołek w trawę, aż oddali się. Potem napięła z lekka swoje mięśnie, szarpnęła, i już wolna, wlokąc za sobą sznurek z kołkiem, zaczęła popasać leniwie.

Roman wrócił do nich uspokojony. Chwilę siedział z odkręconą do tyłu głową.

— Znowu się nie naje — rzekł z troską.

— Dziwne — odezwał się Biały w zamyśleniu. — Niektórzy wcale nie zapracują na miłość, ale mają ją... A inni muszą się stale o nią starać...

Paulina spojrzała na niego szybko. Biały patrzył przed siebie ogromnie zamyślony.

— Jestem taki nieznośny — odezwał się. — Nieraz robię coś na próbę, a oni stale darowują mi... Myślę, że może dlatego, że mam umrzeć.

— Zgłupiałeś?! — spytała ostro Paulina. — Po prostu jesteś oczkiem w głowie jak nasze Sreberko, prawda Janek?

— Myślisz? — rzekł z ulgą Biały. Ale pewnie takim oczkiem nie jestem, skoro nie powiedział ani tak, ani nie... chociaż prosiłem.

— Kto? — zainteresował się Roman.

— Istny — rzekł Janek.

Roman nie zrozumiał. Westchnął. Popatrzył na Kalinę teraz podziwiającą krajobraz.

— Niechbym ja spróbował powiedzieć mamie: nie zjem tego!... Nnno, miałbym za swoje. A ona — tu w głosie zabrzmiała mu duma — popatrzcie... Gapi się na chmury...

— To poetka — rzekła Paulina.

Zachichotali.

— Będę pisarzem — rzekł w zadumie Janek. — Napiszę kilka książek... A potem może się ożenię...

— Ja się nie ożenię nigdy — powiedziała Paulina. — Lekarz musi być samotny, czytałam o tym. Była to nudna książka, ale doczytałam do końca. Muszę wszystko wiedzieć o lekarzach.

— Żeromski nie miał racji — zapewnił ją gorąco Janek. — Lekarz nie powinien być samotny... Zwłaszcza kobieta.

— Kto to jest Żeromski? — zainteresował się Roman. — Ten z Powiatu?

— To pisarz — wyjaśniła Paulina. — Tacy w Powiecie nie mieszkają.

— Pierwszym będzie nasz Janek — rzekł z dumą Biały.

— A co! — powiedziała Paulina. Dodała w zadumie: — Chętnie bym sobie z tym Żeromskim pogadała. Nie we wszystkim się z nim zgadzam. Czy on mieszka w Warszawie?

— Umarł — wyjaśnił Janek. — Sprawdzałem w encyklopedii.

— Może Żeromski znałby lekarzy, którzy by mnie wyleczyli? — wyraził przypuszczenie Biały.

— Ja ciebie wyleczę — zapewniła Paulina. — Masz mikroby, które oni po prostu przeoczyli.

— Tak myślisz? — rzekł Biały z nadzieją.

— Jestem pewna.

Biały zastanowił się. Lekki rumieniec ukazał się na jego policzkach. Oczy zabłysły.

— Może Magister dałby ci książkę o mikrobach? — podjął z ożywieniem.

— On tylko takie ma — zapewniła go Paulina. — Powieści nie czyta. Mówi, że szkoda oczu. Mówi, że mikroskop pokazuje mu najprawdziwszy świat, innego nie jest ciekawy. O po prostu kocha mikroby. Gdyby mógł, to by miał z nimi dzieci...

Biały słuchał z przejęciem.

Paulina mówiąc, patrzyła cały czas na niego. I nagle sparodiowała:

— Popatrz, Paulinko, jak cudowna pałeczka! Jakie kolorki... A ten kryształek! Co za kształcik... nie znajdziesz piękniejszego...

Zaczęła chichotać. On też. A kiedy tak we czworo zaśmiewali się aż do łez, patrząc na Kalinę, która już lekkim truchtem spieszyła do nich, zwabiona hasłem, dostrzegli za swymi plecami ojca Białego.

Cdn.

KRZYK ORŁA

Rysunki i tekst
ANDRZEJ NOWAKOWSKI

1

MINĄŁ MIESIĄC OD OBALENIA OKRUTNEGO WŁADCY, POPIELU, PODPEŁZŁY NA WIEC DOMAN, ZMUZONY UŁOŻYŁ SIĘ DO SNU.

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA MASTOL ATKÓW

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 107 (4502)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-93214

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa. TELEX 813658.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-94-57, TELEX 0315569).
REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobylecka tel. 29-21-42, **Sekretarz redakcji** Wojciech Wróblewski, z-cy sekr. red. Grażyna Szroeder-Bukowska i Lidia Wojciewska tel. 28-25-48, **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 28-77-21), Maria Jaworska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Jan Orgelbrand (dz. krajowy tel. 28-56-18), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13). **Fotoreporterzy** tel. 21-98-28.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy, al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49 wewn. 403. Cena ogłoszeń: 450 zł za 1 cm², 200 zł za jedno słowo w ogłoszeniach drobnych. Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: NBP XV OM Warszawa nr 1153-201478-138-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne:
Szarlota Pawel
Opracowanie techniczne:
Wiesława Chmielewska
Korekta:
Maria Marasek
Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego"
Zam. 3343/G/88. U-40.
Nakład 439 000 egz.

UŚMIECH NUMERU

PO WAKACJACH Ikeński skarży się Mądrali:

— Kiedy słyszę rano budzik, mam wrażenie, że ktoś do mnie strzela...

— I zrywasz się z łóżka?

— Nie! Leżę jak zabity...!

OJCIEC Mądrali z podziwem kręci głową, widząc jak jego syn już siódmy raz z rzędu pracowicie szoruje zęby.

— Nieraz nie można cię do tego kijem zapędzić, a dziś czyścisz już siódmy raz...?

— Bo chcę mieć spokój na cały następny tydzień!

Ewa Przybylska

— Nie możesz wyjść, Bogdanek — tłumaczyła.

— Muszę — upierał się. — Niech niania spyta mamę...

Gospodyni popatrzyła na nich z wyrzutem i wyszła. Słuchali we troje pełni napięcia. Za drzwiami trwały przetargi. Głos inżynierowej szeptał coś przenikliwie. Gospodyni odpowiadała równie szybko, przez moment zdawało się im, że usłyszeli także głos inżyniera. Ale rodzice Białego nie pokazali się.

Gospodyni wróciła.

— Możesz iść — rzekła. — Na godzinę...

Biały wstał. Gdy naciągał na siebie sweter, chociaż, zdaniem Janka, było upalnie, gospodyni szeptała Paulinie wskazówki:

— Pamiętaj, żeby siedział na suchym... Pamiętaj, żeby na kocu... Pamiętaj...

— Znam się na tym — odrzekła Paulina. — Może pani być spokojna...

Poszli. Biały obok nich, na swoich szczudłowatych nogach, szalenie ożywiony. Paulina wiedziała, że tamci w willi schowani za firanki, odprowadzają ich wzrokiem. Czuła wręcz fizycznie ich spojrzenia na swoich plecach. Nienawidziła ich i bardzo żałowała, że właśnie oni są rodzicami Białego. Przez cały czas rozmowy w pokoju Paulina czuła, że Biały wciąż pamiętał, iż nie może dać Paulinie żadnej odpowiedzi. Ani na tak, ani na nie. Choćby nawet najbardziej chciał, nie zmieni swego ojca, tak jak Paulina nie potrafiła zmienić swojego.

Dotarli na łąkę. Paulina starannie wybrała miejsce. Rozłożyła koc, w miejscu Białego — podwójnie. Usiedli. Długo nie rozmawiali wcale, Biały bowiem rozglądał się po łące tak, jakby był na niej pierwszy raz. Jakby miał zaraz stąd odejść, nigdy więcej jej nie oglądając. Biały patrzył na łąkę tak, jak Paulina niedawno spoglądała na swój dom.

Od strony kolonii nadciągał Roman i jego Kalina. Była to niezwykła krowa i cała rodzina Romana odczuwała z tego powodu dumę. Co rozsądniejsi w Miasteczku doradzali, aby pozbyć się zwierzęcia, które nawet na siebie nie zarobi, ale oni z oburzeniem odrzucali takie rady. Kalina urodziła się u nas, odpowiadał ojciec Romana, i pozostanie nasza. Kalina z całą pewnością zdawała sobie sprawę ze swojej mocnej pozycji w domu. Nikt bowiem nie mógł jej namówić do czegoś, na co nie miała ochoty. Było to łaciate, czarno-białe stworzenie o niezwykłej mordzie, nieustannie czymś zaciekawionej. Kalinę interesowało absolutnie wszystko. Roman bardzo rzadko mógł się bawić na łące z innymi chłopcami, Kalina natychmiast porzucała jedzenie, podchodziła do chłopców, wsadzała łeb między ich głowy i słuchała, o czym mówią. Roman zapewniał, że Kalina rozumie każde słowo i wściekał się, gdy koledzy wybuchali śmiechem.

Biały niewiele wiedział o Kalinie.

Właśnie wyprowadzała Romana na pastwisko. Szła ciągnąc go, to znów popuszczając. Roman już ich zauważył siedzących na kocu i wrzasnął, czekajcie, chociaż oni wcale się nie ruszali.

Wiem nad pasternakiem ukazał się samolot. Nadleciał od wschodu, a właśnie na wschodzie, nad Wisłą, doskonalili swoje zdolności pilota Cyprian, najstarszy brat Romana. Roman puścił Kalinę.

— To oni — krzyknął. — nasz Cypciu!

Ruszył biegiem, a za nim rozradowana Kalina. A kiedy tak sobie kłusowali po łące, samolot obniżył lot.

— To ja! — wrzasnął Roman. — Cypciu! Poznajesz mnie?! To ja, twój brat, na posterunku stoję!

Samolot pokołysał skrzydłami, zatoczył półkole nad łąką i

Dokończenie na str. 7